

27
2004

Tytuł oryginału
VALLEY OF WILD ASTERS

Copyright © 2003 by Katherine Parker

Projekt graficzny okładki
Marcin Piątek

Fotografia na okładce
Zbigniew Reszka

For the Polish translation
Copyright © 2004 by Wydawnictwo ELF

For the Polish edition
Copyright © 2004 by Wydawnictwo ELF

Miejska Biblioteka Publiczna

w Rudzie Śląskiej

FILIA NR 16

Skład i łamanie
„Kolonel”

Druk i oprawa OPOLGRAF S.A.
www.opolgraf.com.pl

Wydanie I

ISBN 83-89278-48-0

23.985 821.111(43)-93 III



Rozdział 1

No to pa – rzuciła Meg, kiedy Tim pocałował ją na pożegnanie. – Już dawno powinnam być w domu.

Zamierzała wysiąść z samochodu, ale chłopak ją zatrzymał, ujmując dłoń, którą sięgała do klamki.

– Byłaś dzisiaj przez całą wieczór jakaś taka smutna – powiedział.

Zaskoczył ją fakt, że to dostrzegł. Jak zwykle w soboty, umówili się z przyjaciółmi w pobliskim mieście, Tuscaloosie, i jak zwykle wszyscy świetnie się bawili. Wszyscy poza Meg, która tego dnia rzeczywiście nie była w najlepszym humorze. Starła się jednak, jak mogła, nie okazywać tego, żeby nie psuć innym zabawy. Mimo to jej kiepski humor nie umknął uwagi Tima.

Z jednej strony ucieszyła się, że tak wyczuwa jej nastroje; był to dla niej przejaw jego wrażliwości i dowód

na to, jak bardzo jest mu bliska. Z drugiej jednak strony, zrobiło jej się głupio, i to właśnie z powodu tego kolejnego sygnału, że Timowi na niej zależy.

Spotykali się już od pięciu miesięcy, a od czterech uchodzili w szkole za parę. Z dnia na dzień stawał jej się bliższy. Z ich ust nie padły wprawdzie żadne zapewnienia o tym, że będą się kochać do końca życia, ale Meg często myślała, że jeśli to, co czuje do Tima, nie jest miłością, to znaczy, że coś takiego jak miłość w ogóle nie istnieje.

Mimo to nie zaprowadziła go jeszcze do Doliny Dzikich Astrów. Nie wspomniała mu nawet o istnieniu tego cudownego miejsca, które odkryła, mając jedenaście lat. A przecież wtedy, gdy zobaczyła je po raz pierwszy, złożyła sobie uroczystą przysięgę, że powie o nim tylko komuś, w kim się zakocha – ten jeden jedyny raz, i to na całe życie, bo wtedy była święcie przekonana, że tylko tak można się zakochać.

Po drodze odkryła – i to z niemałym bólem – że z tą miłością różnie bywa. Przed czterema laty jej ojciec zakochał się po raz drugi i zniknął z Alabamy i ich życia, a przed rokiem zakochała się mama, w rezultacie czego w ich domu pojawił się obcy mężczyzna. To znaczy teraz nie był już obcy – Meg i jej bracia przyzwyczaili się do Ralfa, nowego męża mamy, i nawet go polubili. Steve, jej starszy brat, miał już trzecią dziewczynę i jak twierdził – przynajmniej wtedy, kiedy się z nimi spotykał – w każdej był zakochany.

Choć dawno temu straciła już dziecięcą naiwność, nie chciała rezygnować z dawnych marzeń o tej jednej „prawdziwej” miłości.

Więc dlaczego nie pokazała jeszcze Timowi Doliny

Dzikich Astrów? Z mocnym postanowieniem, że zrobi to wkrótce, przechyliła się na siedzeniu, przytuliła się do niego i jeszcze raz się pocałowali.

– Teraz już naprawdę muszę lecieć – rzuciła, odsuwając się niechętnie od swojego chłopaka. – W domu wszyscy śpią – dodała, widząc, że światła są pogaszone.

Zanim jednak zdążyła wysiąść z samochodu, Tim powiedział coś, co na chwilę odebrało jej władzę w nogach.

– Wiesz, że cię bardzo Kocham?

Setki razy, o różnych porach dnia i nocy, wyobrażała sobie, że słyszy coś takiego, mimo to wcale nie była na to przygotowana. Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i znów się do niego przytulić – tym razem jeszcze mocniej – bała się jednak, że potem nie będzie w stanie się oderwać.

W domu, w sypialni na pierwszym piętrze, zapaliło się światło i w oknie ukazała się sylwetka mamy. Meg obiecała wrócić o dziesiątej, a tymczasem dochodziła już jedenasta.

„Też cię Kocham” – wyrzywało jej się z piersi, ale po części dlatego, że z przejęcia zaschło jej w gardle i nie mogła wydobyć z siebie głosu, a po części dlatego, że postanowiła powiedzieć to w innym miejscu, powstrzymała się przed tym wyznaniem.

Uśmiechnęła się tylko, pogłaskała Tima po policzku i chwilę po tym stała już koło samochodu.

– Spotkamy się jutro? – spytała, nachylając się i wkładając głowę do środka?

– Nie mogę – odparł Tim. – Obiecałem ojcu, że zawiozę go na lotnisko w Montgomery. Leci do Dallas w interesach. Jego samolot odlataje o piątej po południu, więc zanim wrócę, będzie pewnie ósma. Chyba że przyjadę do ciebie prosto z Montgomery.

Katherine Parker

- Chciałam cię gdzieś zaprowadzić.
 - No to będę u ciebie wieczorem.
- Meg pokręciła głową.
- Nie. To musi być za dnia. Poczekam z tym do przyszłego weekendu.
 - A co to takiego? - zaciekawiał się chłopak.
 - Zobaczysz - odparła tajemniczo.
 - Powiedz mi, proszę - nie dawał za wygraną Tim, lecz Meg jeszcze raz pokręciła głową, przesłała mu w powietrzu całusa i pobiegła w stronę domu.



Rozdział 2

Meg zjechała z asfaltowej szosy i zaczęła pedałowac znacznie wolniej. Droga przecinająca ziemie MacPhersonów wspinala się lekko w górę, a poza tym z roku na rok stawała się coraz bardziej wyboista.

Dziesięć lat temu, kiedy żył jeszcze stary pan MacPherson, cały ten teren, należący do największej i najlepiej prosperującej farmy w okolicy, wyglądał zupełnie inaczej. Ale po śmierci właściciela, który nie miał dzieci, jacyś dalecy krewni zaczęli się kłócić o spadek, w rezultacie czego posiadłość wciąż nie miała właściciela. Z tego, co mówili ludzie, wynikało, że spór pomiędzy spadkobiercami będzie się toczył kolejne dziesięć lat albo i dłużej.

Tymczasem na ziemi, na której kiedyś uprawiano orzeszki arachidowe, teraz panoszyły się chwasty, a okazały, otoczony werandą dom i fabryczka, w której niegdyś

z orzeszków ziemnych wytłaczano olej, powoli zamieniały się w ruiny.

Meg wcale to nie przeszkadzało. Miejsce, do którego zmierzała, wciąż było takie same jak przed sześciu laty, w dniu, w którym odkryła je w czasie jednej ze swoich rowerowych wycieczek po tym opuszczonym terenie. Szczerze mówiąc, cieszyła się nawet, że spadkobiercy nie mogą się dogadać. Była niemal pewna, że gdyby pojawił się nowy właściciel, nie mogłaby się tak swobodnie poruszać po jego ziemi. Teraz traktowała tę farmę – a zwłaszcza tę jej część, którą nazwała Doliną Dzikich Astrów – jak swoją.

Zbliżała się czwarta. Słońce na swej drodze od zenitu ku horyzontowi miało już za sobą ten dłuższy odcinek, mimo to z nieba wciąż lał się żar. Jesień w tym roku wyraźnie się spóźniała i Meg, trzymając jedną ręką kierownicę, a drugą ocierając spoczone czoło, zastanawiała się, czy astry już zakwitły.

Piaszczysta i wyboista droga nagle się urwała i przed dziewczyną stanęła ściana lasu. Przed sześciu laty, kiedy trafiła tu po raz pierwszy, droga przechodziła w ścieżkę wijącą się pomiędzy białymi dębami, czerwonymi cedrami i rosnącymi gęsto krzakami. Z biegiem lat ścieżka tak zarosła, że dziś nikt – poza Meg – nie domyśliłby się, że kiedyś tam była.

Jeszcze dwa lata temu docierała do Doliny Dzikich Astrów na rowerze, teraz musiała go zostawić, oparty o stary gruby dąb, i dalej przedzierać się pieszo. Pokonanie odległości nie większej niż kilometr zajęło jej ponad pół godziny, co chwilę bowiem musiała odgarniać gałęzie jakichś młodych drzew albo ciemnych krzewów.

Była jednak gotowa na znacznie większe wyrzeczenia niż to, żeby tylko znaleźć się w miejscu, o którym myślała, że jest jej miejscem na ziemi.

Dotarła mniej więcej do połowy drogi, kiedy coś ją przstraszyło. Tuż nad nią rozległy się jakieś niepokojące dźwięki. Zadarła głowę i nie zauważyła, że przejście toruje jej gałąź jakiegoś kolczastego krzaku. Od czasu, kiedy zachwyliła ją roślinność Doliny Dzikich Astrów, zainteresowała się biologią na tyle, że wiedziała, jak nazywa się większość roślin spotykanych w Alabamie. Nazwy tego krzewu, niestety, nie poznała. Teraz poznała za to ostrość jego cierni. I tak miała dużo szczęścia, że kolce nie wbiły jej się w oko.

Cofnęła się, przyłożyła dłoń do piekącego policzka i znów spojrzała w górę. Mimo ostrego bólu uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, co ją przed chwilą tak przstraszyło. Z konarów dorodnego tulipanowca, pod którym stała, zerwało się, wszczynając alarm, kilka leśnych kaczek. Poza nią od dziesięciu lat nikt nie przechodził tą ścieżką – która tak naprawdę wcale już nie istniała – nic więc dziwnego, że zaniepokoiła je obecność intruza.

– Przepraszam – powiedziała Meg, odczuwając niemal wyrzuty sumienia, że zakłóciła spokój tym zabawnym stworzeniom, które, w przeciwieństwie do swych krewniaczek, zwyczajnych dzikich kaczek, jako miejsce do życia przedkładają konary leśnych drzew nad wody stawów czy rzek.

Starając się nie robić dalszego zamieszania, ostrożnie odgarnęła zagrządzającą jej drogę gałąź i ruszyła dalej. Kwadrans później, zobaczywszy górujący nad innymi

drzewami czerwony cedr, wiedziała, że jeszcze chwila, a wkrótce dotrze do swojego miejsca na ziemi.

Wreszcie jej oczom ukazała się otoczona ze wszystkich stron drzewami dolina o kształcie idealnej elipsy, którą przecinała na dwie równe części niewielka rzeczka – raczej strumień – rozlewająca się na środku elipsy, tak że powstawało małe jezioro. Choć od wczesnej wiosny do bardzo późnej jesieni przychodziła tu w prawie każdy weekend, a w czasie wakacji częściej – zawsze wtedy, kiedy chciała побыć sama – jej zachwyt nad tym miejscem był wciąż tak samo intensywny.

Gdy zobaczyła pierwszą kępę dzikich astrów, przykucnęła i z trudem powstrzymała się, żeby ich nie zerwać. Kiedy tu była po raz pierwszy, wróciła do domu z całym ich naręczem. Ale następnego dnia, kiedy patrzyła na nie, wędzące wazonie w salonie, obiecała sobie, że już nigdy w życiu nie zerwie żadnej dziko rosnącej rośliny. Tu, w dolinie, wyglądały najpiękniej i tylko tu było ich miejsce.

Nie do końca dotrzymywała tej obietnicy, czasami nie była bowiem w stanie powstrzymać się przed zerwaniem paru liści dzikiego imbiru. Dzisiaj też nie potrafiła zaparować nad tą pokusą. Zerwała kilka, zgniotła je w dłoni i przez długą chwilę rozkoszowała się świeżym zapachem do złudzenia przypominającym ten roznoszący się w kuchni, kiedy Ralf siekał korzeń prawdziwego imbiru, który dodawał do swoich chińskich potraw. Meg nigdy nie powiedziała tego głośno, ale tak naprawdę przekonała się do nowego męża mamy właśnie wtedy, kiedy zjadła przyrządzoną przez niego chińską słodko-kwaśną potrawkę, do której dodał mnóstwo imbiru.

Rozejrzała się po dolinie. Po obu stronach rzeczki i rozlewiska tu i ówdzie pojawiały się bladofioletowe plamy. Rozkwitła tylko niewielka część astrów; większość była jeszcze w pąkach, które do przyszłego weekendu na pewno się rozwiną. A wtedy wszystko to będzie tonąć w intensywnym fiolecie, pomyślała Meg i zaraz potem przyszło jej do głowy, że może właśnie dlatego tak długo zwlekała z przyprawieniem tu Tima. Może, sama nie zdając sobie z tego sprawy, czekała, aż nadejdzie jesień i zakwitną dzikie astry?

Stawiając ostrożnie stopy, tak żeby nie zdeptać kwiatów, ruszyła w dół, ku kępie ognistych krzewów, rosnących nad brzegiem rozlewiska. Lekko wydłużone kulki ich małych owoców, które podczas jej ostatniego pobytu w dolinie były żółtawe, ściemniały i nabrały pomarańczowego odcienia. Za tydzień staną się krwistoczerwone, a kora krzewów będzie wydzielać intensywny korzenny zapach.

Meg przyszło nagle do głowy, że jej dolina przystraja się w swoją najpiękniejszą szatę, szykując się do tego, co miało się tu zdarzyć w przyszły weekend.

Tylko trawa na brzegu rzeczki i rozlewiska wydawała się jakaś anemiczna, co było o tyle dziwne, że właśnie tu, przy samej wodzie, rosła zawsze najbujniej, a teraz wyraźnie pożałkła i kładła się po ziemi.

Meg posmutniała na ten widok, ale wkrótce odzyskała dobry chumor i uśmiechnęła się, widząc, jak spokojna dotąd tafla przy brzegu rozlewiska marszczy się i nad powierzchnią wody ukazuje się znajoma skorupa. Chwilę później niewielki żółw wyczłapał na brzeg, po czym zaczął się niezdarnie wdrapywać na pobliski kamień.

Nie chcąc go spłoszyć, zamarła i wstrzymała oddech. Dopiero gdy osiągnął swój cel i usadowił się na płaskim wierzchu kamienia, by wygrzewać się w popołudniowym słońcu, powoli, stawiając małe kroczki, ruszyła w jego stronę.

Dostrzegł ją, kiedy przy nim przykucnęła, i spłoszony, natychmiast schował łebek i kończyny w swoją skorupę. Rozpoznała go, chociaż urosł od czasu, gdy widziała go ostatnio. To było chyba na wiosnę. Po chwili przypomniała sobie dokładnie. W dolinie kwitły wtedy dzikie irysy, a więc to musiał być kwiecień. W ciągu tych czterech miesięcy urosł na tyle, że wyglądał już prawie jak dorosły żółw, mimo że tego lata skończył dopiero dwa lata.

Meg zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy był niewiele większy od chrabaszcza, a jego pancerz miał zieloną barwę, znacznie intensywniejszą niż u kilku innych żółwików, które tego lata przyszyły na świat w Dolinie Dzikich Astrów. Zapamiętała go, ponieważ był mniejszy od tamtych, znacznie bardziej płochliwy, a na jego pancerzu, przy szyi, widniała beżowa plamka. Po roku po kształcie ogonka i pazurków, zorientowała się, że jest samcem. Jeśli chodzi o wielkość, dogonił swoich rówieśników, a pancerz zbrazowił mu tak jak u pozostałych. Ale beżowa plamka pozostała i dzięki niej Meg zawsze go rozpoznawała.

Nadała mu nawet imię. Jako że było to jeszcze wtedy, gdy nie mogła rozpoznać jego płci, uznała, że najlepiej będzie, jeśli wybierze mu imię odpowiednie zarówno dla dziewczynki, jak i chłopca, i tak zdecydowała się na Sama.

Wciąż starając się nie ruszać, odezwała się cichym, uspokajającym głosem:

– To ja, Sam. Nie musisz się mnie bać. To ja, Meg. Wiesz przecież, że nic ci nie zrobię.

Już jej się wydawało, że cała ta przemowa na nic się nie zda, kiedy łebek żółwia zaczął się bardzo powoli wysuwać z pancerza. Dziewczyna odczekała jeszcze trochę i dopiero, kiedy ukazały się dwie czerwone linie biegnące po obu stronach jego szyi, uznała, że zwierzę czuje się bezpiecznie, i wolno sięgnęła ręką w jego stronę. Sam nie schował łebka; przeciwnie wysunął z pancerza przednie kończyny – przypominające trochę płetwy, tyle że zakończone pięcioma ostrymi pazurkami – i unosząc się na nich lekko, jeszcze bardziej wyciągnął szyję, jakby domagał się pieszczot.

Skórę miał bardzo miękką i przyjemną w dotyku, więc Meg głaskała go przez jakiś czas. Potem nagle Sam zszedł z kamienia, by poczłapać z powrotem do wody i po chwili zniknął pod jej powierzchnią. Może znużyły mu się jej pieszczoty, a może po prostu promienie słońca, które chyliło się już ku zachodowi, nie grzały tak, jak się tego spodziewał.

Meg, która nie lubiła jeździć po ciemku wyboistą drogą przecinającą farmę MacPhersonów, wkrótce ruszyła ścieżką przez las, wiedząc, że następnym razem nie przyjdzie do Doliny Dzikich Astrów sama.

Za tydzień przyprowadzi tu Tima.



Rozdział 3

Tim najwyraźniej nie był zachwycony. Podjechał pod dom Meg, tak jak się umawiali, w sobotę o trzeciej.

– Rower? – prychnął, krzywiąc się, kiedy dowiedział się, że jego dziewczyna chce, żeby do tego tajemniczego miejsca, które miała mu pokazać, pojechać na rowerach. – A nie możemy samochodem?

– Nie – odparła.

– Dlaczego?

– Bo tam nie da się dojechać samochodem.

Wyobraziła sobie, jak będzie marudził, przedzierając się przez las, skoro już perspektywa jazdy na rowerze tak mu się nie podobała. Ale kiedy dotrą na miejsce, zrozumie, że opłacało się; była tego pewna.

– Mam jechać tym gratem? – spytał Tim, oceniając sceptycznym wzrokiem koła, łańcuch i siodełko.

Rower, który Meg pożyczyła, dla niego od młodszego brata, rzeczywiście nie prezentował się najlepiej – siodełko mocno się przetarło, a metalowe części tu i ówdzie pokrywała rdza – ale był całkiem sprawny.

– Przystań narzekać, jest w porządku – powiedziała trochę poirytowana. Nie tak wyobrażała sobie ten dzień. – Zresztą, jeśli wolisz, możesz wziąć mój. Mnie jest wszystko jedno, na którym pojadę.

Tim dał w końcu za wygraną.

– No nie – rzekł, machając ręką. – Skoro już musimy jechać na rowerach, to mnie jest też wszystko jedno, na którym. – Jeszcze raz popatrzył na wyraźnie nie budzący jego zaufania wehikuł, po czym przeniósł wzrok na Meg i tu zatrzymał go dłużej. – Ładnie dzisiaj wyglądasz.

– Zawsze mi to mówisz – rzuciła, zrobiło jej się jednak bardzo przyjemnie, na tyle przyjemnie, że przeszła jej cała złość o to, że przed chwilą jeszcze tak marudził.

– Może. Ale dziś wyglądasz wyjątkowo ładnie, naprawdę.

Odpowiedziała mu tylko uśmiechem. Kiedy kilka minut wcześniej usłyszała zatrzymujący się przed domem samochód Tima, zerknęła do lustra. Nie zdarzało jej się to często, ale dziś była bardzo zadowolona ze swego wyglądu. A przecież poza umyciem włosów nie zrobiła nic, żeby się upiększyć – nawet nie pomalowała rzęs. Zwykle bywało odwrotnie – spędzała godzinę w łazience nad makijażem, później kolejną, nie mogąc się zdecydować, co włożyć, a potem wcale nie była zadowolona z rezultatu.

Ale dziś wszystko wydawało się jej sprzyjać. Gdy obudziła się rano i wyjrzała przez okno, na dworze lało,

zanim jednak umyła się i zjadła śniadanie, wiatr przegnał chmury i niebo się rozpogodziło.

To miał być jej wyjątkowy dzień i najwyraźniej natura wiedziała o tym.

Tim, niestety, nie wiedział i zupełnie nie zachowywał się tak, jak to sobie wymarzyła.

Kiedy tylko zjechali z asfaltowej drogi na tę piaszczystą, przecinającą ziemię MacPhersonów, znów zaczął narzekać.

– Jezu, gdzie ty mi każesz jechać?! – zawołał po tym, jak wjechał w dół i o mało nie spadł z roweru.

– Musisz trochę bardziej uważać – upomniała go Meg.

– Czy to nie jest przypadkiem ziemia MacPhersonów? – zapytał po chwili.

– Zgadłeś.

– To co my tu robimy?

– Jedziemy w pewne miejsce – odparła, starając się nie tracić cierpliwości.

– Nie powinniśmy wkraczać na cudzy teren.

– Te ziemie na razie są niczyje i nikt się nie dowie, że tu byliśmy. A poza tym, od kiedy to jesteś taki praworządny?

– Zawsze byłem praworządny.

– Przestań, chcesz, żebym ci przypomniała, jak na początku wakacji gonił was ze strzelbą stary Thomson, kiedy na jego terenie polowałeś z Darylem na dzikie indyki? Albo jak...

Nie skończyła, bo Tim wpadł w kolejny dół i tym razem nie udało mu się, niestety, utrzymać równowagi.

– O żesz... – Mnąc w ustach jakieś przekleństwo, podniósł się z ziemi.

– Nic ci się nie stało? – spytała zaniepokojona Meg.

Chłopak przez chwilę się nie odzywał; próbował oczyścić spodnie z ziemi, która w większych zagłębieniach na drodze nie zdążyła jeszcze wyschnąć po porannej burzy.

– Nie, nic – odparł w końcu i trochę niezdarne wsiadł na rower.

Meg dopiero teraz przyszło do głowy, że jak na tak wysportowanego chłopaka, podpory szkolnej drużyny futbolu, bardzo kiepsko radził sobie na dwóch kółkach.

– Kiedy ostatnio jeździłeś na rowerze? – spytała.

Zwlekał z odpowiedzią, w końcu popatrzył na nią i jego twarz wykrzywił dziwny uśmiech.

– Szczerze? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nigdy – powiedział.

Meg nie wierzyła własnym uszom.

– Żartujesz.

– Nie żartuję.

– Naprawdę nigdy w życiu nie jeździłeś na rowerze? – Wydawało jej się, że wie o Timie już wszystko, a tu proszę.

– Kiedy byłem mały, mój starszy brat miał wypadek na rowerze, po którym przez dwa tygodnie leżał w szpitalu z poważnym wstrząsem mózgu. Matka każała potem ojcu wywieźć z domu wszystkie rowery. Pamiętam, że okropnie się wtedy złościłem i miałem do niej o to straszne pretensje. – Zerknął na swoje umazane mokrą ziemią spodnie i po chwili dodał: – Ale teraz uważam, że nie było o co.

Meg była innego zdania. Zupełnie nie wyobrażała sobie życia bez roweru. Ale nie chciała się spierać z Timem, zwłaszcza kiedy uświadomiła sobie, że dla niego ta dzisiejsza wyprawa musiała być jakimś poświęceniem. Przestały ją również denerwować jego narzekania. Nawet potem,

kiedy przedzierali się przez las i co chwila coś mu przeskadzało.

Mimo że od kilku godzin nie padało, gęste konary nie przepuszczały promieni słońca i rosnące niżej gałęzie wciąż jeszcze nie wyschły, a gliniaste podłoże miejscami było bardzo śliskie.

– Naprawdę uważam, że nie powinniśmy się tu szwendać – powiedział Tim chwilę po tym po tym, jak pośliznął się i próbując złapać równowagę, chwycił się najbliższej gałęzi. Była to, niestety, kolczasta tarnina.

– Jeszcze tylko kawałek – uspokoiła go Meg, kiedy zobaczyła górujący nad innymi drzewami czerwony cedr. – Za pięć minut będziemy na miejscu.

Chłopak syknął z bólu, gdy chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

– Zaczekaj! – zawołał, wrywając dłoń. Zatrzymał się i zaczął oglądać palec wskazujący. – Coś mi się wbiło w palec.

– Pewnie cierń tarniny. Chodź, w tym mroku przecież nic nie widać. Usunę ci go, kiedy wyjdziemy na słońce.

Meg wychowała się z dwoma braćmi. Ani młodszy Luc, ani starszy Steve nie byli aniołkami i często wdawali się w bójkę z kolegami. Czasami wydawało jej się, że z podbitym okiem czują się bardziej męscy. Śmieszyło ją to trochę, ale potrafiła zrozumieć. Nie była jednak w stanie zrozumieć, że ci sami dwaj twardziele, kiedy zachorowali i mieli dostać zastrzyk, zachowywali się jak mali przerażeni chłopcy.

Widać jej bracia nie byli wyjątkami. Ktoś, kto widział Tima broniącego na boisku piłki przed przygniatającymi go do ziemi trzema przeciwnikami, nigdy by nie uwierzył,

że to ten sam chłopak, który teraz robi tyle szumu z powodu głupiego ciernia w palcu. Nawet jeżeli miałyby to być dwa ciernie.

– Zobacz – powiedział Tim żałosnym głosem, kiedy dotarli do miejsca, w którym las przerzedził się już na tyle, że przez konary drzew przedzierało się więcej promieni słońca. – Tu też mi się coś wbiło. – Pokazał jej kciuk prawej ręki.

– Nie martw się, na to się nie umiera – odparła Meg i uśmiechnęła się do siebie.

Wydawało jej się, że wie już wszystko o swoim chłopaku, a tymczasem dowiedziała się o nim rzeczy, o których wcześniej nie miała pojęcia. Nigdy dotąd nie jeździł na rowerze, a na zwykły cierń w palcu reagował tak jak mały chłopczyk. Wcale go jednak przez to nie kochała mniej. Kochała go tak samo, może nawet bardziej.

I wkrótce mu to powie. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów i będą w Dolinie Dzikich Astrów.



Rozdział 4

To tu? – zapytał Tim.

Ale Meg go nie słyszała. Nie zwracała uwagi na to, że przy niej jest. Zapomniała o cierniach w jego dłoni. Nie myślała o tym, po co tu dzisiaj przyszła.

Była w Dolinie Dzikich Astrów, lecz to nie była już ta sama dolina. W miejscu, w którym stała, astry rozkwitły jak co roku, tworząc pod jej stopami fioletowy dywan, ale już kilkanaście metrów dalej były to tylko zwiedle, kładące się po ziemi badyle. Im bliżej wody, tym gorzej to wyglądało.

Przerażona, ruszyła w stronę rozlewiska.

– Meg! – zawołał za nią Tim, ale nie odwróciła się; nie patrzyła nawet, czy za nią ruszył.

Przyroda spletała jej brzydkiego figla. Zawiodła ją, i to akurat dzisiaj, kiedy tak na nią liczyła.

Rozżalona Meg zatrzymała się przy ognistym krzaku i spojrzała na jego pożółkłe liście i szerniałe skurczone i pomarszczone owoce. Zbliżyła nos do kory z nadzieją, że poczuje przynajmniej intensywny korzenny aromat.

Poczuła coś zupełnie innego i wtedy zrozumiała, że to nie natura spletała jej figla, bo zapach, który roznosił się dookoła, nie mógł mieć nic wspólnego z naturą. To był zapach chemikaliów, tak ostry, że dziwiła się, iż od razu nie zwróciła na niego uwagi.

Dopiero po chwili zorientowała się, że odór bije od rozlewiska. Podeszła do samego brzegu, przykucnęła i schyliła głowę tak, że nosem dotknęła niemal tafli wody. Natychmiast ją podniosła, wstała i cofnęła się o parę kroków. Coś, co tak śmierdzi i powoduje usychanie roślin w odległości kilkunastu metrów, nie może być nieszkodliwe dla człowieka. I... i dla zółwia.

Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, kiedy jej wzrok zatrzymał się na znajomym kształcie. Tknięta złym przecuciem, wolno ruszyła w stronę łachy przybrzeżnego mułu, z którego wystawał grzbiet pancerza.

Z każdym krokiem była bardziej przerażona. Gdy dotarła do łachy, a pancerz wciąż pozostał nieruchomy, wiedziała już, że przecucie jej nie omyliło. Nie była również zaskoczona, kiedy, odgarnawszy muł, zobaczyła na pancerzu beżową plamkę.

To był Sam.

Jeszcze przez chwilę wierzyła, że zółw żyje, ale kiedy go podniosła, nie miała już wątpliwości.

– Meg? – usłyszała nad głową.

Odwróciła się i przez łzy zobaczyła pochylającego się nad nią Tima.

– Coś ci się stało?
Pokręciła tylko głową.
Chwycił ją za ramiona, postawił na nogi i odwrócił twarzą do siebie.
– Powiedz, co ci się stało – zażądał.
– Mnie nic – odparła zrezygnowanym głosem, zdjęła dłoń chłopaka ze swoich ramion i pochyliła się nad zółwciem.
Tim zmarszczył nos i wciągnął głęboko powietrze.
– O rany! – rzucił, krzywiąc się. – Co tu tak śmierdzi?
– To coś, co zabiło Sama.
Na twarzy chłopaka odmalowało się przerażenie.
– Jezu, Meg, o czym ty mówisz? Jakiego Sama.
– To jest Sam – odparła, wskazując pancernik, spod którego wystawały bezwładne kończyny.
Tim odetchnął z ulgą.
– Musisz mnie tak straszyć? Myślałem, że ktoś został zabity – powiedział i roześmiał się.
– Bo został i to wcale nie jest śmieszne! – krzyknęła.
– Meg, przecież to jest tylko głupie zwierzę. Pewnie zdechło ze starości.
– Głupie zwierzę?! – Słowa wzięły jej w gardle, tak że przez dłuższą chwilę w ogóle nie mogła mówić. Głupie zwierzę?! – powtórzyła w końcu. – Sam nie mógł zdechnąć ze starości, miał dopiero dwa lata.
Smutek, który zawiadnął nią, gdy zobaczyła Dolinę Dzikich Astrów, a swoje apogeum osiągnął w momencie, kiedy zorientowała się, że Sam nie żyje, zaczął się stopniowo przekształcać w złość.
Wyprostowała się i popatrzyła na rozlewisko, kryjące ohydnie cuchnące źródło kłęski, która nawiedziła jej dolinę.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedziała z determinacją w głosie.
– Co zrobić? – zdziwił się Tim. – Co masz na myśli?
– Jak to co? Ktoś zatrul tę wodę jakimś świństwem. Trzeba donieść o tym władzom.
– To chyba nie jest najlepszy pomysł.
– A masz inny?
– Owszem – odparł po chwili zastanowienia.
– Jaki?
– Przejsć przez ten piekielny las, jeśli jest to jedyna droga, którą można się stąd wydostać, wsiąść na te cholerne rowery, wrócić do ciebie, a potem wziąć mój samochód i pojechać do Tuskałoozy na pizzę. Trochę zgłodniałem.
Meg nie mogła uwierzyć, że to powiedział. Nie mieściło jej się w głowie, że chłopak, któremu jeszcze niedawno chciała wyznać miłość, może po tym, co zobaczył, myśleć o pizzy.
W ciągu ostatniej godziny dowiedziała się o nim kilku nowych rzeczy. To, że dzisiaj po raz pierwszy w życiu wsiadł na rower, i to, że na zwykłe ukłucie reagował tak histerycznie jak większość chłopaków, nie osłabiło jej uczuć do Tima. Jednak po tym, co usłyszała przed chwilą, pomyślała, że być może wiedziała, co robi, tak długo zwlekając z pokazaniem mu Doliny Dzikich Astrów.
Może nie zasługiwał na to, żeby być tu z nią.
Przyjrzała się jego twarzy, która nagle wydała jej się jakaś inna.
– Jak w ogóle możesz mówić teraz o jedzeniu?
– Zwyczajnie – odparł, wzruszając ramionami. – Jestem po prostu głodny.
– Głodny! – prychnęła Meg i odwróciła się do niego

plecami. Jej dolina umierała, roślinność usychała, zwierzęta zdychały, a on był „po prostu głodny”. – Proszę bardzo, jedź sobie na tę swoją pizzę. Ja zostanę tutaj.

– Przecież wiesz, że bez ciebie stąd nie pójdę.

– A niby dlaczego nie? Poradzę sobie bez ciebie.

Tim zrobił niewyraźną minę.

– Ty beze mnie tak – rzekł się po chwili – ale ja bez ciebie raczej nie.

Meg nie od razu wiedziała, o co mu chodzi. Kiedy zrozumiała, uśmiechnęła się złośliwie.

– No proszę, nasz dzielny Tim boi się sam iść przez las. – Jej głos niemal ociekał jadem.

Tim, który, widząc, że jego dziewczyna jest mocno poruszona, starał się dotychczas zwracać do niej jak najłagodniej, teraz stracił cierpliwość i odezwał się znacznie mniej ugodowym tonem:

– Słuchaj, możesz mi powiedzieć, o co jesteś na mnie zła.

Meg milczała.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– O to, że tu dzieje się coś okropnego, a ty myślisz tylko o sobie.

– Nie, wcale nie myślę tylko o sobie, myślę również o tobie – mówił, coraz bardziej podnosząc głos. – Myślę o tym, że skoro, według ciebie, temu żółwiowi zaszkodziło to paskudztwo, które tak tu cuchnie, to może nie powinniśmy tutaj sterceć.

W tym, co powiedział, był jakiś sens; musiała się z tym zgodzić, zwłaszcza kiedy uświadomiła sobie, że boli ją głowa. Być może powodem było zdenerwowanie, ale niewykluczone, że Tim miał rację.

Samowi i tak nie mogła już pomóc, a przyglądanie się martwemu zwierzęciu i uschniętym roślinom nie pomagało jej w racjonalnym myśleniu. Nawet nie miała ze sobą żadnego naczynia, do którego mogłaby nabrać zanieczyszczonej wody, żeby zanieść ją gdzieś, gdzie można byłoby zbadać jej skład.

Przykucnęła jeszcze przy leżącym w mule nieruchomym pancerzu, po czym wstała i bez słowa ruszyła w górę doliny w kierunku lasu. Postanowiła wrócić do domu, przemyśleć wszystko na spokojnie i albo jeszcze dziś poprosić Ralfa, żeby zawiózł ją do biura szeryfa, albo wrócić tu jutro po próbkę wody.

Szła szybko. Tim ledwie za nią nadążał; słyszała za sobą jego zasapany oddech.

– Nie musisz tak pędzić! – zawołał, kiedy dotarła do pierwszych drzew. – Tu nie czuć już tego smrodu, więc nic nam chyba nie grozi.

Meg przyspieszyła jeszcze kroku i po chwili zagłębiła się w gęstwinę, po porannym deszczu wciąż pachnącą wilgocią. Energicznie odsuwała na boki torujące przejście gałęzie i nie przejmowała się wcale tym, że Tim pozostawał kawałek za nią. Od czasu do czasu z tyłu dochodziły jego narzekania. Nie bez satysfakcji myślała wtedy, że znowu wbił mu się w rękę jakiś cień.

Kiedy usłyszała przeciągłe plaśnięcie, po którym chłopak głośno zaklął, nie mogła odmówić sobie przyjemności obejrzenia się. Uśmiechnęła się złośliwie, widząc, jak Tim podnosi się z kłęczek, po czym bez słowa ruszyła dalej.

– Ciesz się, że przynajmniej ciebie to bawi! – zawołał

Nie była w nastroju do zabawy i uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

Choć pokonanie ścieżki przez las zwykle zajmowało jej co najmniej pół godziny, tym razem udało im się to w kwadrans. Tim, który w końcu nabrał wprawy w rozgarnianiu gałęzi, dogonił ją i szedł tuż za nią, ale żadne z nich się nie odzywało.

Dopiero gdy znaleźli się przy rowerach, przerwał milczenie.

– O co właściwie jesteś na mnie zła?

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Skoro tego nie wiedział, to nie było sensu tłumaczyć mu tego. I tak nie zrozumie.

– Właściwie to o nic – odparła w końcu zrezygnowanym głosem, po czym, nie mówiąc nic więcej, wsiadła na rower i wjechała na piaszczystą drogę.



Rozdział 5

Dzięki – powiedział Tim, oddając rower młodszemu bratu Meg.

Luc popatrzył na rower, na niego, a potem znów zaczął się uważnie przyglądać rowerowi.

– Jest w porządku – uspokoił go Tim.

– W przeciwieństwie do ciebie – rzucił Luc z uśmiechem. – Wyglądasz nieszczególnie.

Meg musiała przyznać mu rację – Tim miał zadrapany policzek i spodnie całe umazane błotem.

– Gdzieś ty z nim jeździła? – zwrócił się do niej Luc. Odpowiedziała mu wzruszeniem ramion.

Wyczuł napięcie między siostrą a jej chłopakiem i postanowił jak najszybciej się ulotnić.

Meg i Tim zostali sami przed domem. Oboje czuli się niezręcznie. Ona nie kwapiła się, żeby zapraszać go do

środką, on zupełnie nie wiedział, co robić dalej. Zapano-
wała nieprzyjemna cisza.

Wreszcie Tim nie wytrzymał i się odezwał:

– A właściwie to co mi chciałaś pokazać?

Jeszcze kiedy byli w Dolinie Dzikich Astrów, uświado-
miła sobie, że ona i Tim nadają na różnych częstotliwoś-
ciach. Gdyby mu teraz powiedziała, co naprawdę planowała
na dzisiaj, uznałby ją za głupią romantyczkę i pewnie by
się ubawił.

Przez głowę przemknęła jej nagle okropna myśl, że
może Sam musiał stracić życie, żeby ona mogła wreszcie
przejrzeć na oczy i zobaczyć swojego chłopaka takiego,
jaki był naprawdę.

– Nic – odpowiedziała cicho. – To już nie ma znaczenia.

W powietrzu znów zawisło milczenie; wydawało się tak
gęste, że można by je było przeciąć nożem.

I po raz drugi przerwał je Tim.

– Pojedziemy do Tuskaloosy? – zaproponował niepew-
nym głosem.

Pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Muszę coś załatwić.

Tim spojrział na nią podejrzliwie.

– Co zamierzasz załatwiać?

– Nieważne – odparła rozdrażniona. – To nie jest twoja
sprawa.

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć, w co zamierzasz
się wpakować.

– Powiedziałam ci, że to ciebie nie dotyczy.

– Ale dotyczy ciebie, a wszystko, co dotyczy ciebie...

Meg nie dała mu skończyć. Nie była w nastroju do

wysłuchiwania jego zapewnień o tym, jak bardzo obchodzi
go wszystko, co jest związane z jej osobą. Nie miała
ochoty tego słuchać. O tym, jak jest naprawdę, mogła się
niedawno przekonać.

– Nie mówmy już o tym – ucięła zdecydowanie.

Tim nie dał się jednak tak łatwo zbić z tropu.

– Meg, zanim zwrócisz się do szeryfa albo do jakichś
innych władz, pomyśl o tym, że będziesz musiała im się
przyznać, że wtargnęłaś na cudzy teren.

– Ja wtargnęłam?! – prychnęła ze złością. – Wtargnął
tam ten ktoś, kto zatrul wodę.

– Może – zgodził się z nią Tim dla świętego spokoju. –
Ale jeśli kogoś o tym poinformujesz, będziesz musiała
wy tłumaczyć, jak się tam znalazłaś.

– I co z tego?

– To z tego, że będziesz miała kłopoty. Uważasz, że
naprawdę warto się w nie pakować?

Meg popatrzyła na niego, nie kryjąc pogardy.

– Czy warto?! – zawołała. – Czy warto?! – Chciała
go zapytać, czy nie widział uschniętych roślin, Sama,
leżącego bez ruchu w mule, ale po co? Przecież i tak
nie obchodziło go nic poza własnym świętym spo-
kojem. – Tim, to jest mój problem, nie twój – po-
wiedziała takim tonem, że dalszą dyskusję uznała za
bezzasadną.

Dał za wygraną; pokręcił głową i zapytał:

– A jutro? Wybierzemy się jutro do Tuskaloosy?

– Nie wiem jeszcze, co będę robić jutro.

– A kiedy będziesz wiedzieć?

– Nie wiem.

– Chcesz, żebym już sobie pojechał?

Meg chciała automatycznie powtórzyć „nie wiem”, ale wszedł jej w słowo:

– Tylko mi nie mów, że tego też nie wiesz – powiedział, podnosząc głos. – Musisz chyba wiedzieć, czy chcesz, żebym sobie pojechał, czy nie?

Zwlekąca z odpowiedzią, czuła bowiem, że od tego, co teraz powie, będzie wiele zależeć – to, czy ona i Tim będą jeszcze parą, czy zostaną tylko przyjaciółmi lub znajomymi albo czy w ogóle nie będą chcieli się znać.

Miała w głowie mętlik, nie wiedziała, czego chce, obawiała się więc słów, których mogłaby potem żałować.

– Chciałabym побыć teraz sama – rzuciła w końcu. – Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

Tim wykonał taki ruch, jakby chciał ją objąć i pocałować na pożegnanie, ale zatrzymał się.

– Zadzwońisz na pewno?

– Obiecuję.

– To do jutra – powiedział i poszedł do swojego samochodu.

Stała, patrząc, jak wsiada i odjeżdża, i dopiero gdy jego terenowa toyota stała się punkcikiem na drodze, wolno ruszyła w stronę wejścia do domu.



Rozdział 6

Luc i Steve siedzieli przed telewizorem. Na ich widok przysła nadzieja, że z nimi porozmawia i coś jej doradzą. Byli tak zaafekowani transmitowanym meczem, że nawet nie zauważyli, kiedy weszła do salonu.

Mama i Ralf gdzieś pojechali. Zresztą nawet gdyby byli w domu i tak usłyszałyby od nich pewnie radę podobną do tej, którą dał jej Tim: „Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy”. Być może Ralf na początku byłby innego zdania, ale w końcu i tak poparłby mamę.

Nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Sama musiała zdecydować, co zrobić. Poszła więc do swojego pokoju, usiadła w bujanym fotelu i zaczęła się zastanawiać.

Nie była pewna, czy ostrzeżenia Tima jakoś wpłynęły na jej decyzję, czy powzięła ją zupełnie niezależnie od tego, co mówił, uznała jednak, że na razie wie jeszcze za

mało, i postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej, zanim się do kogoś zwróci. Obojętnie, czy pójdzie do biura szeryfa, czy do innych władz, im więcej faktów będzie miała w ręce, tym poważniej ją potraktują. Tylko jak miała szukać tych faktów?

Po kwadransie monotonnego bujania powieki jej się kleiły, a do głowy wciąż nie przychodził jej żaden sensowny pomysł.

Wstała z fotela, podeszła do okna i zaczęła się bezmyślnie rozglądać. Na dworze, mimo że była już połowa października, wszystko było jeszcze zielone; zwłaszcza w pobliżu rzeki, która płynęła kilkaset metrów od ich domu.

Meg poczuła bolesne ukłucie, kiedy porównała tę soczystą zieleń z brudną żółcią uschniętych roślin w jej dolinie. Ale widok rzeki, płynącej spokojnie przez łąkę porośniętą bujną trawą, nasunął jej wreszcie jakiś pomysł.

Znała Dolinę Dzikich Astrów jak własną kieszeń. Woda w rozlewisku sięgała jej w najgłębszym miejscu zaledwie do połowy ud i Meg w lecie często przechodziła na drugą stronę, by sprawdzić, czy można tam jakoś dotrzeć inną drogą niż ścieżka przez las, która z roku na rok coraz bardziej zarastała krzakami. Ale dookoła wznosiła się gęsta ściana lasu.

Poza dziczejącą ścieżką nie było żadnej innej możliwości dotarcia do doliny; nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Czując, że znalazła wreszcie koniec nitki, która pozwoli jej rozwikłać kłębek tajemnicy, podenerwowana, zaczęła przemierzać pokój w tę i we w tę.

Szkody, które widziała w dolinie, nie mogły powstać w wyniku działania jakichś niewielkich ilości środków

chemicznych, a to oznaczało, że były one wlewane nie bezpośrednio do rozlewiska, lecz do rzeki, zanim jej wody docierały do Doliny Dzikich Astrów. Hrabstwo, w którym mieszkała Meg, było poprzecinane tak gęstą siecią potoków, rzeczek i rzek, że nawet ona, od lat wypuszczająca się na wycieczki rowerowe po bliższej i dalszej okolicy, nie orientowała się dokładnie, co do czego wpada i którędy przepływa.

Kiedy sobie to uzmysłowiła, wiedziała już, co powinna zrobić najpierw.

Nie miała własnego komputera, więc poszła do salonu i zapytała Steve'a, czy może skorzystać z komputera w jego pokoju.

Ten był tak zaferowany meczem, że pokiwał tylko głową i pomachał ręką, co miało oznaczać: „Rób sobie, co chcesz, ale daj mi święty spokój”. Przemknęło jej przez głowę, że teraz zgodziłby się na wszystko, o co by go poprosiła, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, i przez moment rozważała nawet, czy jakoś nie wykorzystać tej sytuacji.

Po dziesięciu minutach buszowania w Internecie i przejrzaniu kilkunastu stron udało jej się znaleźć bardzo szczegółową mapę hrabstwa, na której były zaznaczone wszystkie rzeki i potoki, nawet te najmniejsze.

Niestety, rzeczką, która ją interesowała, zanim wpływała na ziemie MacPhersonów, przecinała posiadłość Thomsona. Nie była to pomyślna wiadomość. Thomson był starym gburem i wolałaby się nie pakować w sytuację podobną do tej, w której znaleźli się Tim i Daryl, kiedy w czasie polowania na dzikie indyki przypadkiem przekroczyli granicę jego terytorium. Nie miała najmniejszej

ochoty na uciekanie przed starym dziwakiem, mierzącym do niej ze strzelby.

Z drugiej strony, kiedy się nad tym dłużej zastanowiła, ta informacja coś jej jednak mówiła. Stary Thomson żył głównie z łowienia rzecznych krewetek, których miał mnóstwo na swoim terenie. Wydawało się więc mało prawdopodobne, by dopuścił, żeby ktoś zatruił wody na należących do niego ziemiach. Podobnie mało prawdopodobne było to, że ktoś ryzykowałby zadzieranie z człowiekiem znanym w całej okolicy z pieniactwa.

Kiedy to przeanalizowała, była niemal pewna, że toksyczne chemikalia są wlewane do rzeki na terenie MacPhersonów.

Jeszcze raz spojrzała na mapę. Ziemie MacPhersonów przecinały dwie rzeki. Ta, która przepływała przez Dolinę Dzikich Astrów, była mniejsza i wpadała do tej drugiej, która z kolei, dwa, trzy kilometry po tym, jak opuszczała teren MacPhersonów i tym samym wpływała do sąsiedniego hrabstwa, łączyła się z inną rzeką. Meg domyśliła się, że ktoś, kto nielegalnie pozbywał się jakichś toksycznych odpadów, musiał liczyć na to, że tam, za granicą hrabstwa, stężenie chemikaliów w wodzie będzie na tyle niewielkie, że ujdzie mu to bezkarnie.

Im dłużej wpatrywała się w mapę, tym bardziej była przekonana, że miejsce przestępstwa – bo tego, co się wydarzyło, nie potrafiła nazwać inaczej – znajduje się na tym odcinku rzeki, który z jednej strony wyznaczała granica między ziemią Thomsona i MacPhersonów, a z drugiej Dolina Dzikich Astrów.

Nie był to długi odcinek – nie więcej niż pięciokilometry – ale rzeka płynęła wśród lasu i jeśli drzewa i krzewy

rosły tam równie gęsto, jak wzdłuż ścieżki, którą docierała do doliny, mógł być trudny do pokonania.

Meg była jednak tak zdeterminowana, że nie przestraszyła się tego i postanowiła spróbować tamtędy przejść. Chciała to zrobić jak najszybciej, ale kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że na dworze zaczyna się ściemniać.

Akurat wyłączała komputer, kiedy do pokoju wszedł Steve. Minę miał nieszczerłą, domyśliła się więc, że drużyna, której kibicował, przegrała mecz.

– Hej! – zawołał, gdy wstała od biurka. – Co robiłaś przy moim komputerze?

Było dokładnie tak, jak się spodziewała – nawet nie zauważył, że spytała, czy może z niego skorzystać, a kiedy mu o tym powiedziała, wciąż jej nie wierzył.

– Nic ściemniasz? – zapytał, zerkając na nią podejrzliwie.

– Jasne, że nie. Byłeś tak podniecony meczem, że teraz tego nie pamiętasz. Ale możesz zapytać Luca. – Miała nadzieję, że tego nie zrobi, bo młodszy brat pewnie w ogóle nie zauważył, że wchodziła do salonu.

– No dobra. – Steve machnął w końcu ręką.

– Dzięki – rzuciła i wyszła z jego pokoju. Zanim jednak zamknęła drzwi, coś jej przyszło do głowy. Zatrzymała się na progu i zwróciła do brata: – Pamiętasz te buty, które wkładał tata, kiedy jeździł na ryby?

– Buty. Jakie buty?

– Takie wysokie kalosze.

– A, rzeczywiście nosił coś takiego.

– Wiesz może, co się z nimi stało?

– A skąd miałbym wiedzieć? – burknął, jakby to ona była winna, że drużyna, której kibicował, przegrała.

Katherine Parker

– Myślałam, że może wiesz – odparła. Nie miała ochoty, żeby dłużej wyladowywał na niej swój zły humor, wzruszyła więc ramionami i odeszła, myśląc, że faceci to jednak paskudny gatunek.

– A co, wybierasz się na ryby?! – zawołał Steve, wychodząc za nią na korytarz. – Przepraszam – odezwał się już znacznie łagodniej – ale jestem trochę wkurzony.

– Właśnie widzę.

– Ty też byś się wkurzyła, gdybyś widziała, jak ta oferma Finnes pozwolił sobie odebrać piłkę – powiedział i po chwili dodał: – A te buty... Sprawdź w tej szopie koło garażu. Jeśli gdzieś są, to tylko tam.

– Dzięki.



Rozdział 7

Dolina tonęła we fiolecie. Wszystkie astry rozkwitły. Ognisty krzew pysznił się swoimi podługimi błyszczącymi liśćmi o morskim odcieniu ciemnej zieleni i ostro kontrastującymi z nimi krwistoczerwonymi kulkami. Kora wydzielała upajający korzenny zapach.

Tim stał tak blisko, że miała wrażenie, iż przy każdym jego oddechu jej włosy falują, jakby były poruszane lekkim wietrzykiem.

– Kocham cię – powiedziała cicho.

Wszystko było idealne – dokładnie takie, jak to sobie wymarzyła.

Tylko że nie było prawdziwe. Chociaż jeszcze długo po tym, jak się przebudziła, wydawało jej się, że to wydarzyło się naprawdę.

Ale nie była w Dolinie Dzikich Astrów, leżała w swoim

łóżku, w swoim pokoju. Wpadające przez okno pierwsze promienie słońca pozwoliły jej rozpoznać znajome kształty – biurko, komodę, bujany fotel, nocny stolik przy łóżku i stojący na nim staroświecki budzik, którego wskazówki pokazywały kwadrans po piątej.

Meg wolałaby jednak być w Dolinie Dzikich Astrów, zamknęła więc oczy i próbowała zasnąć z nadzieją, że wróci do tamtego cudownego snu.

Zasnęła i znów śniła, lecz był to już inny sen – o leżącym w mule martwym Samie, o usychających roślinach, o jej miejscu na ziemi, które umierało.

Kiedy, pragnąc od tego uciec, obudziła się, w pokoju wciąż panował półmrok, a wskazówka budzika pokazująca minuty przesunęła się zaledwie o kawałek.

Meg zerwała się z łóżka, bojąc się, że jeśli znów zaśnie, koszmar powróci. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Za kilkanaście minut zrobi się już całkiem jasno, postanowiła więc nie zwlekać z wykonaniem zadania, które wyznaczyła sobie na dzisiaj.

Szybko umyła zęby, wzięła prysznic i kwadrans później była już w kuchni. Nie zdziwiła się, kiedy zastała tam Ralfa, który zawsze narzekał, że w tym domu śpioczków musi nawet w weekendy sam jeść śniadanie.

Kiedy ją zobaczył, jego oczy rozjaśnił uśmiech. Niemal całą twarz pokrywała mu broda i każdą zmianę jego nastroju widać było tylko po oczach.

– No, wreszcie jakaś żywa dusza – powiedział. – Zrobić ci jajka na bekonie?

Meg pokręciła głową, nie jadła dużych śniadań, ale kiedy podeszła do stołu, na który stawał właśnie swój

talerz, i poczuła zapach dobrze zarumienionych cienkich plasterów bekonu, ślinka nabiegła jej do ust.

– A może bym zjadła?

– Siadaj – nakazał jej Ralf, a kiedy postuszenie usiadła, podsunął jej swój talerz.

– Przecież to twoje – zaprotestowała.

– Jaka to różnica? I tak by mi wystygły, zanim usmażyłbym dla ciebie.

Meg spojrzała na wielką porcję i znów pokiwała głową.

– Za dużo – rzuciła. – W życiu nie zjadłabym trzech jajek. Zjedz spokojnie, a potem usmaż mi jedno. – Zerknęła na apetycznie wyglądający bekon i zmieniła zdanie. – No, może dwa.

– Najpierw spróbuj, a potem pogadamy – powiedział.

Zapach był tak kuszący, że Meg nic miała ochoty dłużej się spierać. Zanim Ralf usmażył jajka dla siebie, zjadła już wszystko, i szczerze mówiąc, gdyby zaproponował jej dodatkę, pewnie by nie odmówiła.

– Pyszne, naprawdę pyszne – pochwaliła go.

– Powiedz to mamie. Może ty ją namówisz, żeby spróbowała.

– Przecież mama się odchudza – przypomniała mu Meg.

– Odchudza! – prychnął Ralf – Nie wiadomo po co! Jakby jej to było potrzebne!

Mama po odejściu ojca doszła do wniosku, że zakochał się w tej drugiej, ponieważ była od niej znacznie szczuplejsza, i zaczęła się odchudzać. Była to, oczywiście, nieprawda. Od czasu, jak Meg sięgała pamięcią, jej rodzice wciąż się kłócili i raczej w tym, a nie w nadwadze matki należało szukać przyczyn odejścia ojca. Według Meg, mamie nie zaszkodziłoby, gdyby pozbyła się jeszcze paru

kilogramów, ale Ralfowi podobała się taka, jaka jest, i denerwowała go każda wzmianka o diecie.

– Spróbuję ją namówić, żeby przynajmniej raz spróbowała – obiecała. Spojrzała na niego i pomyślała, że mama miała szczęście, spotykając kogoś takiego jak on.

Mogła już właściwie iść, ale nalała sobie szklanę soku i siedziała z nim w kuchni, dopóki nie zjadł śniadania. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Kiedy pojawił się w ich życiu, długo powtarzała sobie, że nigdy nie zastąpi jej ojca. Może i go nie zastąpił, lecz stał się kimś bliskim i należał do rodziny.

Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie zwierzyć mu się z tego, co ją gnębi, obawiała się jednak, że będzie próbował ją odwieść od jej zamiarów, a nie była gotowa z nich zrezygnować.

Poczekala więc, aż Ralf skończy jeść jajka i dopije kawę, a dopiero potem powiedziała, że idzie pojeździć na rowerze, i wyszła z kuchni.

Z szopy przy garażu wzięła przygotowane wieczorem rzeczy. Sięgające jej po końce ud rybackie kalosze ojca, tak jak przypuszczał Steve, były szopie w na samym dole sterty rupieci. Żeby do nich dotrzeć, Meg musiała poprzedniego dnia przekopać się przez mnóstwo zakurzonych przedmiotów, o większości których nie wiedziała, ani jak się nazywają, ani nawet do czego służą.

Oprócz tego zabrała ze sobą grube gumowe rękawice, których mama używała do prac w ogrodzie, dwa starannie umyte słoiki z zakręcanymi przykrywkami, kilka plastikowych torebek i niewielką łopatę z krótkim trzonkiem.

Kiedy ledwie jej się udało przymocować te rzeczy do

bagażnika roweru, z przerażeniem pomyślała, że będzie musiała dźwigać je przez las. Rozważała przez chwilę, czy nie zostawić kaloszy, które były najcięższe, ale nie wiedziała, czy nie będzie musiała iść nurtem rzeki, a w razie gdyby zaistniała taka konieczność, wolała być ostrożna i nie narażać się na bezpośredni kontakt z zanieczyszczoną chemikaliami wodą.

Jakoś je dotaszczyć, pomyślała, sprawdziła jeszcze raz, czy wszystko jest dobrze przymocowane, i wsiadła na rower.

Gdy wyjeżdżała spod domu, nic nie zapowiadało jeszcze, że pogoda się popsuje, ale kiedy znalazła się już na ziemi MacPhersonów, nadciągnęły pierwsze ciemne chmury. Kwadrans później całe niebo miało barwę otowiu.

Ledwie ruszyła ścieżką przez las, rozpoczęła się ulewa. Najwyższe gęste konary drzew przez pierwszych kilka minut stanowiły coś na kształt parasola, ale potem uginały się pod ciężarem wody i na głowę Meg spadały nie krople, ale całe strugi.

Kiedy wreszcie dotarła do Doliny Dzikich Astrów, przestało już wprawdzie padać, ale była przemarznięta, przemoczona do suchej nitki i tak zmęczona, że miała ochotę wyciągnąć się na trawie. Tylko że trawa również była mokra.

Dziewczyna zdjęła bluzę, otrzepała się z wody i ruszyła w dół. Gdzieś w samym środku serca tliła się w niej jakaś irracjonalna nadzieja, że przez noc wszystko się tu odmieniło i dolina będzie taka jak zawsze. Nic się jednak nie zmieniło – rośliny przy brzegu rozlewiska wyglądały równie żałośnie, a martwy Sam leżał w tym samym miejscu co wczoraj.

Kiedy poczuła pod powiekami łzy, zganiała się w duchu. Nie przyszła tu, żeby się rozklejać. Miała przed sobą zadanie i powinna się na nim skupić. Ale zanim się za nie zabierze, musiała jeszcze coś zrobić.

Włożyła gumowe rękawice, rozejrzała się i wybrała miejsce koło niewielkiego krzaka werbeny, rosnącego na tyle daleko od wody, że nie ucierpiał i jego liście wciąż były zielone. Pół metra od niego wykopała niewielki dół. Nie było to trudne, bo ziemia namokła w czasie deszczu.

Tej nocy nie mogła zasnąć, przypomniała sobie bowiem Sama, którego zostawiła w cuchnącym chemikaliami mulu, i nie dawało jej to spokoju. Wczoraj nie miałaby wprawdzie czym wykopać dołu, ale i tak winą za wszystko obciążała swojego chłopaka. Gdyby nie on, na pewno coś by zrobiła. Nie zostawiłaby Sama w tym mulu, nawet gdyby miała grzebać w ziemi gołymi rękami.

Im więcej o tym myślała, tym większy czuła do Tima żal; tak jakby to on osobiście zatrzał wodę w rzecze i przyczynił się do śmierci jej ulubionego zółwia.

Nie bawiła się w sentymentalne ceremonie, tak jak w dzieciństwie, kiedy każdemu zdechłemu zwierzakowi – nieważne, czy był kotem, gołębkiem, kretem czy tylko chrabąszczem – urządzała prawdziwy pogrzeb z kwiatami i krzyżem z dwóch patyków.

Ale w jej pożegnaniu z Samem było jednak coś z dawnej dziecięcej patetyczności.

– Obiecuję ci, że znajdę twojego mordercę – powiedziała, zanim zasypawszy dół, odeszła od krzaczka werbeny.



Rozdział 8

Było kilka minut po dziewiątej, kiedy idąc wzdłuż rzeki, doszła do lasu. Zapach chemikaliów był dzisiaj ledwie wyczuwalny. Z jednej strony cieszyło ją to, z drugiej martwiło, traciła bowiem dowody. Przyszła tu, ponieważ chciała, zanim zwróci się do władz, mieć w ręce fakty. A tymczasem fakty jej uciekały, może rozmyte deszczem, a może po prostu dlatego, że nie zaczęła działać od razu.

Powinna była wczoraj... Zanim wymyśliła, co dokładnie powinna zrobić wczoraj, znów zalała ją fala złości na Tima. Gdyby nie on... Gdyby nie on...

Weź się w garść, nakazała sobie. Nie jesteś tu z powodu Tima, o nim pomyślisz później. Musiała powtarzać to sobie kilka razy, ale w końcu poskutkowało.

Pierwszy odcinek drogi pokonała bez najmniejszych problemów. Las był tak rzadki, że zastanawiała się, czy

nie zostawić gdzieś ciężkich kaloszy, które niosła pod pachą. Jednak po paru minutach ucieszyła się, że tego nie zrobiła, drzewa i krzewy rosły bowiem coraz gęściej, aż w końcu doszła do miejsca, w którym ich gałęzie utworzyły ścianę nie do przebycia.

Meg miała dwa wyjścia, albo znaleźć jakieś przejście kawałek od brzegu, albo iść dalej korytem rzeki. Oceniała wzrokiem głębokość i wybrała to drugie rozwiązanie.

Wczoraj, kiedy znalazła w szopie kalosze, przymierzyła je. Były o wiele za duże, lecz po zrobieniu kilku kroków, uznała, że jakoś sobie poradzi, nie przewidziała jednak, że gdy wejdzie do rzeki, poruszanie się w nich będzie znacznie trudniejsze.

Dopóki woda sięgała jej do kolan, wolno wprawdzie, ale posuwała się do przodu. Cały czas miała jednak wrażenie, że za chwilę zgubi kalosze, które były tak duże, że włożyła je, nie zdejmując swoich butów. Starła się w ogóle nie unosić nóg, szurała stopami po dnie.

O ile przy rozlewisku w Dolinie Dzikich Astrów wyczuwała lekki odór chemikaliów, o tyle tu woda wydawała się czysta i nie wydzielala żadnego zapachu. Tylko uschnięte rośliny przy samym brzegu świadczyły o tym, że stało się coś złego.

Meg rozglądała się z nadzieją, że las znów się przerzedzi, ale krzewy i niskie liściaste drzewa rosły gęsto przy samej rzece, a niektóre były w niej zanurzone.

Nie miała wyjścia, musiała brnąć dalej w wodzie, choć robiło się to coraz trudniejsze, ponieważ sięgała jej już do połowy ud. Z przerażeniem pomyślała, że jeszcze trochę, a zacznie się wlewać do kaloszy.

Dochodziła dziesiąta. Słońce przygrzewało tak mocno,

że mokra po deszczu bluzka już dawno wyschła, ale teraz znów zaczęła się robić wilgotna, tyle że od potu. Meg była wyczerpana, a najgorsze było to, że nie miała pojęcia, jak długo będzie musiała tak iść. Przypuszczała, że jeszcze nie pokonała nawet połowy drogi.

Kiedy rzeczka zrobiła się tak głęboka, że cholewy kaloszy wystawały z niej zaledwie na kilka centymetrów, bliska załamania dziewczyna, zastanawiała się, czy nie zawrócić. Zmusiła się, jednak, by przejść jeszcze kawałek, i odetchnęła z ulgą, gdy woda znów sięgnęła jej tylko do kolan.

Kilkadziesiąt metrów dalej las przerzedził się na tyle, że mogła wyjść na brzeg i zdjąć ciężkie niewygodne gumowce.

Po mordędze w rzece dalsza droga pomiędzy białymi dębami okazała się miłym spacerem. Tylko że Meg nie wybrała się tutaj na spacer, a im dłużej szła, tym bardziej obawiała się, że wróci do domu z niczym. Nie rzucało jej się w oczy nic podejrzanego. Las pachniał wilgocią i świeżością i, poza kilkoma uschniętymi krzakami przy brzegu, nic nie wskazywało na to, by coś zakłóciło jego vegetację.

Nie dostrzegła najmniejszego śladu obecności człowieka. Właśnie myślała o tym, że jest pierwszą od lat osobą, która się tu zapuściła, kiedy kilkanaście metrów przed sobą ujrziała przecinającą las drogę, która kończyła się na samym brzegu rzeki.

Zanim zobaczyła głębokie koleiny w gliniastym podłożu, wiedziała już, że trafiła na trop. Nie potrafiła ocenić dokładnie, kiedy jechał tędy jakiś samochód, lecz ślady bieżnika opon były na tyle wyraźne, że musiało to być niedawno. Sądząc po koleinach, zatrzymał się tuż przy brzegu rzeki.

Rozejrzała się uważnie. Po prawej – tam, skąd przyszła – widać było pozótkłe rośliny i szerniałe poszycie, po lewej wszystko się zieleńiło.

Nie miała pojęcia, kto jest odpowiedzialny za zatrucie rzeki, ale wiedziała, gdzie się to odbywa, a to już było coś.

Żeby się upewnić, ruszyła jeszcze kawałek w górę rzeki. Kiedy przeszła jakieś dwieście metrów i nie zobaczyła żadnej uschniętej rośliny, nie miała już wątpliwości.

Wróciła do leśnej drogi i zaczęła się zastanawiać, co robić. Nie uśmiechało jej się wracać do Doliny Astrów w ten sam sposób, jak się tu dostała. Nie wiedziała wprawdzie, dokąd prowadzi droga przez las, mimo to postanowiła zaryzykować. Nawet gdyby miała nadrobić trochę kilometrów, i tak wolała to niż brodenie w rzece.

Nie zdążyła się jeszcze zastanowić, jakie podjąć dalej kroki, ale czuła, że jeszcze tu wróci. Spojrzała z odrazą na ciężkie kalosze. Postanowiła, że zabierze je stąd kiedy indziej, cisnęła nimi w gęste zarośla, i ruszyła droga przez las.

Przez jakiś czas szła wzdłuż śladów opon, ale gliniasta ziemia lepila się do butów, Meg zboczyła więc między drzewa i odetchnęła z ulgą, gdy poczuła pod stopami miękkie poszycie.

Po półgodzinnym marszu zaczęła wypatrywać końca lasu, lecz przed sobą widziała tylko drzewa – czerwone cedry, białe dęby, gdzieś tam tulipanowce – i nic poza nimi. Kiedy minęło następne pół godziny, zaniepokoiła się, a kwadrans później doszła do wniosku, że powinna zawrócić. Jednak perspektywa włożenia tych okropnych kaloszy powstrzymała ją przed tym.

Dokąd ta droga musi przecież prowadzić, pomyślała

i trzymała się tego przez następny kwadrans, dopóki nie zobaczyła jaśniejszego światła między drzewami. Mając nadzieję, że wzrok jej nie zawodzi, przyspieszyła kroku.

To nie była fatamorgana. Po kilku minutach Meg doszła do skraju lasu.

Zatrzymała się i rozejrzała, próbując się zorientować, gdzie jest. Przed nią rozciągały się zarośnięte chwastami, od dziesięciu lat nieuprawiane pola, które przecinała wychodząca z lasu droga. Spojrzała, dokąd prowadzi, i zrozumiała, dlaczego nie miała pojęcia o jej istnieniu. Droga nie odchodziła bowiem bezpośrednio od szosy, tylko zaczynała się w olejarni.

Meg czasami przejeżdżała koło ogrodzonej fabryczki, mijala zardzewiałą żelazną bramę, zamkniętą na wielką staroświecką kłódkę, i nigdy przez myśl jej nie przeszło, że za olejarnią jest droga.

Ktoś jednak musiał być bardziej spostrzegawczy niż ona.

Wiedziała już zatem, jak można dotrzeć samochodem do rzeki, ale nie wiedziała, jak ona ma dotrzeć do swojego roweru. Mogła, oczywiście, iść do olejarni, obejść ją albo przedrzeć się jakoś przez ogrodzenie, przejść ładny kawałek szosą i dotrzeć do drogi, którą zawsze jeździła. A potem już tylko parę kilometrów po wertepach i będzie przy rowerze.

Oceńiła wzrokiem odległość, zsumowała szacowaną długość wszystkich trzech odcinków i wyszło jej co najmniej piętnaście kilometrów.

Pomyślała o swoich obolałych nogach i zachciało jej się płakać. Na domiar złego poczuła głód. Zerknęła na zegarek; dochodziła trzecia. Od ponad ośmiu godzin nie miała nic w ustach. I tak była wdzięczna Ralfowi, że

namówił ją do zjedzenia porządnego śniadania. Kiedy uświadomiła sobie jednak, że idąc koło olejarni, dotrze do domu najwcześniej za trzy godziny, postanowiła skrócić od razu w lewo i trzymać się brzegu lasu.

Nie żałowała tej decyzji, ponieważ pół godziny później, kiedy stopy zaczęły ją picc tak niemilosiermie, że każdy krok sprawiał ból, z daleka rozpoznała stary krzywy dąb, przy którym zawsze zostawiała rower.

Są ludzie, którzy są stworzeni po to, żeby chodzić pieszo, i tacy, którzy powinni jeździć na rowerze, pomyślała kilka minut później, jadąc wyboistą drogą w tumanach kurzu. Ona z pewnością należała do tej drugiej kategorii.

Poczuła się tak dobrze, że zupełnie zapomniała o zmęczeniu i głodzie i kiedy dotarła do szosy, zamiast pojechać w lewo, w stronę domu, skręciła w prawo w kierunku olejarni.

Nie wiedziała właściwie, po co tam zmierza, miała jednak nadzieję, że natrafi na kolejny ślad.

Nie myliła się. Ogrodzenie wyglądało jeszcze żałośniej niż zeszłego lata, kiedy przejeżdżała tędy po raz ostatni, a brama była jeszcze bardziej zardzewiała. Ale wciąż wisiała na niej kłódka. Tylko że kiedy Meg zsiadła z roweru i podeszła bliżej, zobaczyła, że ktoś tę kłódkę przepiłował.

W pierwszym odruchu chciała ją zdjąć i wejść na teren olejarni, uznała jednak, że lepiej będzie, jeśli niczego nie dotknie. Trochę ją rozbawiła ta własna ostrożność, kiedy uświadomiła sobie, że zachowuje się jak jakiś detektyw z telewizyjnego serialu, ale, szczerze mówiąc, czuła się trochę jak detektyw.

Próbowała zajrzeć przez ogrodzenie, lecz poza opu-

stoszałym, niszczącym budynkiem z czerwonej cegły i mnóstwem złomu na dziedzińcu, nic nie zauważyła, w każdym razie nic, co mogłoby ją naprowadzić na jakiś trop.

Idąc wzdłuż ogrodzenia, dotarła na tyły olejarni. Okazało się, że jest tu taka sama brama jak od frontu. Od bramy ciągnęła się droga. Meg spojrzała w dal na miejsce pod lasem, w którym była przed niecałą godziną.

Na bramie wisiała staroświecka kłódka, identyczna jak tamta.

I identycznie przepiłowana.



Rozdział 9

Była już na drodze dojazdowej do domu, kiedy zobaczyła jadącego z naprzeciwka Luca.

– Przez ciebie nie mogłem obejrzeć do końca meczu! – zawołał, ostro hamując kilka metrów od niej.

Spojrzał na nią z taką złością, że się przestraszyła.

– Przeze mnie? – zdziwiła się.

– Mama kazała mi cię szukać.

Meg chciała odpowiedzieć coś bratu, ale zanim się zorientowała, zawrócił i odjechał.

Kiedy weszła do domu, siedział na kanapie przed telewizorem, jakby w ogóle z niej nie wstawał.

– Martwiłam się o ciebie – odezwała się matka, wyglądając z kuchni.

– Przecież wiesz, że w soboty czasami dłużej jeżdżę

na rowerze. – Meg nawet mamie nie opowiedziała o Dolinie Dzikich Astrów.

– Tak, ale zawsze wracasz na obiad.

– Trochę straciłam poczucie czasu.

– No dobrze, ważne, że jesteś cała i zdrowa.

Za to właśnie Meg ją kochała najbardziej; nie była gderliwa jak inne matki. Słyszała opowieści koleżanek i wyobrażała sobie, jak na takie spóźnienie zareagowałyby, na przykład, mama Melisy. Pomyślała nagle, że ojciec pewnie nie potrafił tego docenić. Za to Ralf doceniał i z pewnością było to dla niego ważniejsze niż te parę kilogramów nadwagi.

– Przepraszam – powiedziała i pocałowała ją w policzek.

Mama uśmiechnęła się.

– Obiad dla ciebie jest w lodówce, włóż tylko do mikrofalówki – powiedziała, wychodząc z kuchni. – Jadę z Ralfem do babci – dodała. – Wybierzesz się z nami?

Dziewczyna wahała się przez chwilę. Babcia zawsze na niedzielę piekła swój tort bananowy, który co roku zdobywał pierwszą nagrodę w okręgowym konkursie wypieków, i nikt nie miał wątpliwości, że jest to wyróżnienie jak najbardziej zasłużone. Meg pociekła ślinka, ale na myśl o tym, że miałyby jeszcze wychodzić z domu, znów rozboleły ją nogi.

– Nie, jedźcie beze mnie, jestem trochę zmęczona.

– Jak chcesz.

– Ale przywieziesz mi kawałek tortu? – spytała Meg błagalnym tonem.

Mama uśmiechnęła się przekornie.

– Zastanowię się – rzuciła i już odchodziła, kiedy nagle coś sobie przypomniała. – Aha, telefonował Tim, i to dwa razy. Prosił, żebyś koniecznie do niego zadzwoniła.

Meg na dźwięk jego imienia poczuła w sercu bolesne ułucie.

– Wypytywał się, gdzie jesteś – ciągnęła matka.

Dziewczyna, próbując ukryć, co czuje, wzruszyła ramionami, ale mama nie dała się zwieść.

– Co się stało, pokłóciliście się?

– Nie – odparła Meg i zaczęła się zastanawiać, czy to, co wydarzyło się między nią a Timem, można było nazwać kłótnią. – Chyba nie – odpowiedziała, bardziej sobie niż mamie.

Teraz matka pocałowała ją w policzki.

– Nie martw się, na pewno się pogodzicie. Kłócić też się czasem trzeba. Najważniejsze jest, żeby potem umieć się dogadać i pogodzić.

Żeby to wszystko było takie proste, pomyślała smutno Meg, kiedy mama odeszła. Ale głód nie pozwolił jej kontynuować tych filozoficznych rozważań. Weszła do kuchni, wyjęła pojemnik z solidnym kawałkiem pieczeni z dzikiego indyka i piure ze słodkich ziemniaków, i nawet przez chwilę nie zastanawiała się, czy tracić czas na podgrzewanie tego w mikrofalówce albo przekładanie na talerz.

Dostłownie rzuciła się na jedzenie i pięć minut później pojemnik był pusty.

Już nie głodna, ale wciąż zmęczona, powlokła się do swojego pokoju. Czowała się brudna i przepecona i wiedziała, że pierwsza rzecz, którą powinna zrobić, to wziąć porządy

prysznic. Ale zdołała zaledwie zdjąć buty, zanim w ubraniu położyła się na łóżku, mówiąc sobie, że to tylko na chwilę, na pięć minut.

Obudziła się po trzech godzinach z nieprzyjemnym uczuciem, że o czymś zapomniała. Przez chwilę, trochę nieprzytomna, siedziała na łóżku, próbując się skupić. W końcu uznała, że prysznic na pewno przywróci jej jasność myślenia, i poszła do łazienki.

Wyszła stamtąd kwadrans później, czując się zdecydowanie lepiej, ale dopiero kiedy zobaczyła telefon, przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Tima.

Podniosła słuchawkę, szybko wcisnęła guziki z pierwszymi czterema cyframi jego numeru, z kolejnymi szło jej już znacznie wolniej, a przy ostatnim zawahała się. Przez chwilę trzymała nad nim palec, w końcu odłożyła słuchawkę.

Tim przez cały dzień przewijał się przez jej myśli. Chwilami była na niego zła, chwilami odczuwała tylko smutek. Po wczorajszym dniu coś się między nimi zmieniło; tego była pewna. Teraz będzie już inaczej, nie miała jednak pojęcia, czy to „inaczej” oznacza koniec spotkania się z Timem, czy coś innego. Wolą z nim nie rozmawiać, dopóki nie odpowie sobie na to pytanie.

Wkrótce przyjechała mama z Ralfem i Meg pobiegła do kuchni. Kiedy pytała matkę, czy przywiezie jej tort, robiła to tylko z uprzejmości, wiedziała bowiem, że babcia nie wypuściłaby jej, nie zapakowawszy uprzednio kawałka dla swojej ulubionej wnuczki. Wróciła do pokoju z ogromną porcją.

– Zastanowię się – rzuciła i już odchodziła, kiedy nagle coś sobie przypomniała. – Aha, telefonował Tim, i to dwa razy. Prosił, żebyś koniecznie do niego zadzwoniła.

Meg na dźwięk jego imienia poczuła w sercu bolesne ułucie.

– Wypytywał się, gdzie jesteś – ciągnęła matka.

Dziewczyna, próbując ukryć, co czuje, wzruszyła ramionami, ale mama nie dała się zwieść.

– Co się stało, pokłóciliście się?

– Nie – odparła Meg i zaczęła się zastanawiać, czy to, co wydarzyło się między nią a Timem, można było nazwać kłótnią. – Chyba nie – odpowiedziała, bardziej sobie niż mamie.

Teraz matka pocałowała ją w policzki.

– Nie martw się, na pewno się pogodzicie. Klócić też się czasem trzeba. Najważniejsze jest, żeby potem umieć się dogadać i pogodzić.

Żeby to wszystko było takie proste, pomyślała smutno Meg, kiedy mama odeszła. Ale głód nie pozwolił jej kontynuować tych filozoficznych rozważań. Weszła do kuchni, wyjęła pojemnik z solidnym kawałkiem pieczeni z dzikiego indyka i piure ze słodkich ziemniaków, i nawet przez chwilę nie zastanawiała się, czy tracić czas na podgrzewanie tego w mikrofalówce albo przekładanie na talerz.

Dostłownie rzuciła się na jedzenie i pięć minut później pojemnik był pusty.

Już nie głodna, ale wciąż zmęczona, powlokła się do swojego pokoju. Czowała się brudna i przepecona i wiedziała, że pierwsza rzecz, którą powinna zrobić, to wziąć porządy

prysznic. Ale zdołała zaledwie zdjąć buty, zanim w ubraniu położyła się na łóżku, mówiąc sobie, że to tylko na chwilę, na pięć minut.

Obudziła się po trzech godzinach z nieprzyjemnym uczuciem, że o czymś zapomniała. Przez chwilę, trochę nieprzytomna, siedziała na łóżku, próbując się skupić. W końcu uznała, że prysznic na pewno przywróci jej jasność myślenia, i poszła do łazienki.

Wyszła stamtąd kwadrans później, czując się zdecydowanie lepiej, ale dopiero kiedy zobaczyła telefon, przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Tima.

Podniosła słuchawkę, szybko wcisnęła guziki z pierwszymi czterema cyframi jego numeru, z kolejnymi szło jej już znacznie wolniej, a przy ostatnim zawahała się. Przez chwilę trzymała nad nim palec, w końcu odłożyła słuchawkę.

Tim przez cały dzień przewijał się przez jej myśli. Chwilami była na niego zła, chwilami odczuwała tylko smutek. Po wczorajszym dniu coś się między nimi zmieniło; tego była pewna. Teraz będzie już inaczej, nie miała jednak pojęcia, czy to „inaczej” oznacza koniec spotkania się z Timem, czy coś innego. Woląla z nim nie rozmawiać, dopóki nie odpowie sobie na to pytanie.

Wkrótce przyjechała mama z Ralfem i Meg pobiegła do kuchni. Kiedy pytała matkę, czy przywiezie jej tort, robiła to tylko z uprzejmości, wiedziała bowiem, że babcia nie wypuściłaby jej, nie zapakowawszy uprzednio kawałka dla swojej ulubionej wnuczki. Wróciła do pokoju z ogromną porcją.

Gdy wcześniej brała prysznic, zastanawiała się, co zrobić w sprawie zatrucia rzeki. Czuła, że przydałaby jej się czyjaś rada, lecz nie przychodził jej do głowy nikt, do kogo mogłaby się po nią zwrócić. Najwyraźniej pyszny tort babci pobudził jej umysł do działania, bo po zjedzeniu pierwszego kawałka wpadła na pomysł wejścia na forum dyskusyjne w Internecie dotyczące zanieczyszczenia środowiska.

Kierując się intuicją, zdecydowała się na jedną z licznych stron związanych z ekologią, załogowała się, opisała krótko to, co już odkryła, i zapytała, do jakich władz ma się zwrócić.

Już po kilku minutach nadeszły pierwsze wiadomości, ale nawet pomijając te, których autorami byli jacyś żałośni żartownisie, były dosyć ogólne i nie dawały konkretnych odpowiedzi na jej pytanie.

W końcu znużyło ją czytanie banałów typu „Nie możemy pozwolić, żeby ograbiono nas z tego co najcenniejsze” albo „Trzeba się temu przeciwstawić, bo ONI najpierw zniszczą rośliny, potem zwierzęta, a na końcu przyjdzie koniec na nas.

– Oni? Jacy oni? – rzuciła półgłosem, po czym, patrząc w ekran, jakby to tam był jej anonimowy doradca, poirytowanym głosem dodała: – I sama wiem, że trzeba się temu przeciwstawić, tylko nie wiem, cholera, jak. Gdybym wiedziała, nie zwracałabym się do takich głupków jak ty.

Mimo to czytała uważnie wszystkie następne wiadomości.

Tuż przed północą, kiedy już co najmniej od kwadransa żadna nie przyszła, zbierała się do wyłączenia komputera.

I wtedy rozległo się piknięcie, sygnalizujące, że nadeszła nowa.

Zach – albo ktoś, kto podał się za Zacha – był bardzo konkretny i bardzo, ale to bardzo nieufny wobec władz.

„Do nikogo się nie zwracaj. Najpierw dowiedz się, ile możesz sama. Pobierz próbki wody, ziemi, czego się da, i daj je do zbadania, komukolwiek – wystarczy pierwszy lepszy student chemii. Kiedy będziesz już wiedziała, co w nich jest, przyslij mi ich dokładny skład chemiczny. Jeśli będą zawierały jakieś substancje toksyczne, sprawdzę, przy produkcji czego mogą powstawać, i dam ci znać. Będziesz tylko musiała dowiedzieć się, czy w najbliższej okolicy nie ma przypadkiem jakiejś fabryki wytwarzającej to coś. Jeśli, mając to wszystko, pójdziesz na policję, będą musieli zareagować. Bo jeżeli powiesz im, że coś tam śmierdziało, jakieś tam rośliny pousychały, nie zrobią nic, z tego prostego powodu, że nie będzie im się chciało. Powodzenia. Zach”

Meg jeszcze raz uważnie przeczytała tę wiadomość i nagle znów powróciło to przemożne uczucie, że o czymś zapomniała. To nie był telefon do Tima. Owszem, o tym również zapomniała, ale niepokój odczuwała w związku z czymś zupełnie innym.

Rano, gdy opuszczała Dolinę Dzikich Astrów, nie mając jeszcze pojęcia, że będzie wracać inną drogą, zostawiła tam dwa wypełnione słoiki – jeden wodą z rozlewiska, drugi nadbrzeżną ziemią. Potem, pewnie pod wpływem zmęczenia i emocji, zupełnie o nich zapomniała.

Zniechęcona, zaczęła się zastanawiać, czy zadanie, którego się podjęła, jej nie przerasta. No bo co to za detektyw, który zapomina o dowodach przestępstwa? Po

chwili jednak przypomniała sobie, co udało jej się dzisiaj odkryć, i to osłodziło gorycz porażki.

Poza tym to jeszcze nie porażka, tłumaczyła sobie. Wróć jutro do doliny i zabiorę stoiki z wodą i ziemią. Poczula niemałą satysfakcję, kiedy uświadomiła sobie, że pobierając próbki, ona, nie mająca dotąd do czynienia z takimi przypadkami, zrobiła dokładnie to, co radził Zach, który najwyraźniej miał już w takich sprawach spore doświadczenie.

Ale kiedy przypomniała sobie o jego następnej wskazówce, nos znów opadł jej na kwintę. Skąd ja wezmę studenta chemii? – pomyślała z rozpaczą. Nawet pierwszego lepszego? Najbliższy uniwersytet był kilkaset kilometrów od jej domu, a jedynymi studentami znanymi jej osobiście, było kilku kolegów starszego brata i – jeśli sobie dobrze przypominała – żaden z nich nie studiował chemii.

Spojrzała na talerzyk z ledwie napoczętą porcją tortu i żeby sobie poprawić humor, zjadła kawałek. Specjalność babci znów podziałała ożywczo na umysł Meg.

– Josh! – zawołała, podskakując na krześle. – Jak mogłam o nim zapomnieć.

Josh Bloom należał do tych geniuszy, którzy co kilka lat pojawiają się w każdej szkole. Już w pierwszej klasie nikt nie miał wątpliwości, że w przyszłości dostanie Nobla, nie wiadomo było tylko z jakiej dziedziny. Od roku wszyscy wiedzieli, że będzie to chemia, nawet wtedy, gdy po jednym z jego doświadczeń lekcje chemii przez dwa tygodnie odbywały się w sali biologicznej, ponieważ chemiczną pracownię trzeba było remontować.

Josh, w przeciwieństwie do innych geniuszy, miał tę zaletę, że był miły i bardzo uczynny. Meg była więc

pewna, że kiedy zwróci się do niego z prośbą, zrobi wszystko, żeby jej pomóc.

Miała ochotę zadzwonić do niego od razu, na szczęście zerknęła na zegarek i zobaczyła, że dochodzi już pierwsza. Było za późno na telefon do Josha.

I niestety, również za późno na telefon do Tima.

Zrobiło jej się głupio, kiedy sobie to uświadomiła. Niezależnie od tego, co myślała o jego zachowaniu w Dolinie Dzikich Astrów, obiecała mu, że zadzwoni, i nie dotrzymała słowa.



Rozdział 10

Z wnętrza szkonego budynku dobiegł przytłumiony dźwięk dzwonka na lekcję, a on wciąż nie nadchodził.

– Wreszcie – prychnęła, kiedy zobaczyła jego samochód, wjeżdżający na parking.

Czy on musi się tak guzdrać? – zastanawiała się zniecierpliwiona, patrząc, jak bez pośpiechu wysiada z wozu, zamyka go, idzie wolnym krokiem, po czym zawraca, szuka czegoś w bagażniku, wyjmuje to, zamyka klapy, jeszcze raz ją podnosi, pochyla się, wkłada to coś, wyjmuje coś innego, prostuje się, pociera czoło, jakby się zastanawiał, czy to coś na pewno jest tym czymś, czego potrzebuje, wreszcie znów zamyka bagażnik, idzie w stronę szkoły, po kilkunastu metrach jeszcze raz się zatrzymuje.

Nie zawracaj, błagam, zaklina go w myślach Meg. Nie

mogę się spóźnić na lekcję więcej niż dziesięć minut. Matematyczka i bez tego ostatnio ma mnie na oku.

Nigdy nie posądzała się o zdolności parapsychologiczne, ale jej zaklęcia podziałały. Nie wrócił do samochodu, przyspieszył nawet kroku, nieznacznie, ale jednak.

– Cześć! – zawołał z daleka. – Nie było jeszcze dzwonka na lekcję?

– Owszem, był – odpowiedziała Meg cierpliwie i spojrzała na zegarek. – Jakieś siedem minut temu.

– Niemożliwe – rzucił. – A wydawało mi się, że dziś uda mi się wreszcie nie spóźnić.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek spóźnił się mniej niż kwadrans

– No, jak na ciebie, to i tak duży sukces – pochwaliła go, zastanawiając się, czy wszyscy geniusze są tak niezorganizowani jak on.

– To dlaczego stoisz przed szkołą, skoro jest już po dzwonku? – Popatrzył na nią zza grubych szkielec w okrągłych czarnych oprawkach.

– Czekam na ciebie, Josh.

– Na mnie? – zdziwił się.

– Mam do ciebie prośbę.

Kiedy zobaczyła jego twarz, domyśliła się, że jeśli tylko będzie mógł, na pewno jej pomoże.

– Chcesz się umówić ze mną na randkę? – zapytał.

Wiedziała, że żartuje. Mimo trochę śmiesznych okularów ze szklami grubości denka butelki był całkiem przystojnym chłopakiem, ale sprawy damsko-męskie były ponad nim; co do tego nie miała wątpliwości.

– Nie, chodzi o to, że muszę znać skład chemiczny

dwóch... jak wy to w waszym języku nazywacie, próbek? Właśnie, próbek.

– Wy? To znaczy kto?

– No... wy. – Chciała powiedzieć, „geniusze”, wiedziała jednak, że Josh jest uczulony na to słowo. – Wy... chemicy
– Nie ma sprawy – odparł bez wahan. – Trzeba było mówić od razu, bo już się wystraszyłem, że będziesz chciała mnie podrywać.

Gdyby to powiedział jakikolwiek inny chłopak, uznałaby te słowa za przejaw zarozumiałości, w jego ustach brzmiały tylko zabawnie i sympatycznie.

– Nie, nie musisz się tego bać – uspokoiła go. – Nawet gdybym chciała cię podrywać, i tak wiem, że jestem bez szans. – Uśmiechnęła się. – Może kiedyś. Ale na razie chodzi mi wyłącznie o te próbki. Wydaje mi się, że zawierają jakieś toksyczne substancje, ale muszę wiedzieć jakie.

– Gdzie je masz?

Meg nie usłyszała jego pytania. Patrzyła na Tima, który zbliżał się do nich od strony parkingu.

Na chwilę oderwała od niego wzrok i zwróciła się do Josha:

– O co pytałeś?

– O te próbki. Gdzie je masz?

Tym razem usłyszała, ale nie odpowiedziała, ponieważ znów popatrzyła na swojego chłopaka, który podszedł na tyle blisko, że widziała jego spojrzenie i wyraz twarzy, które kazały jej się zastanowić nad tym, czy może go nazywać nadal swoim chłopakiem.

– Cześć – rzucił, lecz nie była pewna, czy zwraca się do niej, czy do Josha, ponieważ nie patrzył na żadne z nich.

Minął ich i wszedł do szkoły.

– Porozmawiamy na przerwie! – zawołała za nim Meg, lecz nie była pewna, czy zrobiła to, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi, czy sekundę wcześniej.

Dopiero po dłuższej chwili była w stanie wrócić do przerwanej rozmowy.

– A, pytałeś o próbki?

Josh pokiwał głową.

– Będę je miała dzisiaj. – Policzyła sobie, ile czasu zajmie jej dojechanie autobusem do domu, dotarcie do Doliny Dzikich Astrów i powrót. – Koło szóstej. – Wiedziała, gdzie Josh mieszka, ale nigdy u niego nie była. – Mogłabym ci je przywieźć o... – Zastanawiała się, jak długo będzie jechała do niego rowerem.

– Gdybym wpadł do ciebie piętnaście po szóstej, już byś je miała?

– Na pewno, ale nie musisz się fatygować... – zaczęła, lecz wszedł jej w słowo.

– I tak muszę wieczorem jechać do Tuscaloosy, więc będę miał po drodze.

– Trafisz do mnie?

– Masz mnie za matola?

Nie, nie miała go za matola; miała go za geniusza, za fantastycznego chłopaka, który miał tylko tę jedną jedyną wadę – był geniuszem.



Rozdział 11

W czasie pierwszej przerwy nie porozmawiała z Timem, ponieważ nie mogła go nigdzie znaleźć, a w czasie drugiej zatrzymała ją nauczycielka angielskiego, która tego dnia oddawała sprawdzone wypracowania i każde z nich omawiała. Meg, której nazwisko zaczynało się na W, dostała swoje wypracowanie już po dzwonku i musiała zostać w klasie, żeby wysłuchać uwag pani Bishop.

Dopiero na trzeciej przerwie udało jej się z nim spotkać, ale te kilka zdań, jakie ze sobą zamienili, trudno by było nazwać rozmową.

Nie krył, że jest na nią obrażony, a ona musiała przyznać, że ma ku temu powody.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam – odezwała się ze skrucą. Miała nadzieję, że nie będzie jej pytał dlaczego – nie potrafiłaby mu tego wytłumaczyć. Nie tu i nie teraz.

Może kiedyś, w jakimś innym miejscu, ale nie w tym hałasie na szkolnym korytarzu.

Tim patrzył na nią jednak tak, jakby oczekiwał wyjaśnień.

– Byłam wczoraj okropnie zajęta – powiedziała, nie wdając się w szczegóły.

Pokiwał tylko głową i uśmiechnął się ironicznie. Pierwszy raz widziała, żeby uśmiechał się w taki sposób, i wcale jej się to nie podobało.

– Słuchaj, Tim – w jej głosie nie było już słychać śladu skrucy – ja naprawdę byłam wczoraj bardzo zajęta.

– Oczywiście, że musiałaś być baaaaardzo zajęta, skoro w ciągu całego dnia nie znalazłaś głupich pięciu minut, żeby do mnie zadzwonić.

Nie podobało jej się również to, jak z nią rozmawiał, szczególnie to złośliwe przeciągnięcie słowa „bardzo”. Nie chcąc zaostrzać sytuacji, pominęła to jednak milczeniem.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział po chwili.

– Wiem.

– Dwa razy.

– Wiem, mama mi mówiła.

– Mówiła ci również, że prosiłem, żebyś oddzwoniła?

– Tak – bąknęła Meg, nie wiedząc, co jeszcze dodać.

– No, ale ty byłaś baaaaardzo zajęta.

Miała już trochę dosyć tej złośliwości w jego głosie i ironicznego uśmiechu.

– Posłuchaj, Tim, przeprosiłam cię przecież. Mogę to zrobić jeszcze raz. Przepraszam cię. Baaaaardzo cię przepraszam. – Próbowała go naśladować w przeciąganiu tego

słowa, lecz wyszło jej to dosyć nieudolnie. – Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?

Zdawała sobie sprawę, że nie podobałoby jej się, jeśli by to ją ktoś przeproszał w taki sposób – zwłaszcza gdyby to był jej chłopak – ale nie potrafiła się zdobyć na nic więcej.

– Niczego nie oczekuję – odparł Tim.

Kiedy rozległ się dzwonek na lekcję, Meg poczuła ulgę, wołała bowiem nie kontynuować tej rozmowy. Chciała odejść, ale spojrzała na chłopaka i nie ruszyła się z miejsca. Z jego ust zniknął ironiczny uśmiech, a w oczach pojawił się smutek.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze? – odezwała się łagodnie.

– Dobrze. No, chyba że znowu będziesz baaardzo zajęta.

– Cześć – rzuciła i odeszła, nie oglądając się. Była jednak pewna, że jego twarz znów wykrzywił drwiący uśmieszek.

Tego dnia spotkali się jeszcze dwa razy na korytarzu, lecz pomachali sobie tylko z daleka i nie zamienili już ani słowa. Nie było w tym nic szczególnego, ponieważ nie należeli do tych par, które na chwilę się nie rozstają i snują się po szkolnych korytarzach, wciąż się do siebie klejąc.

Jednak w stołówce zwykle siadali razem, poza okresem międzyszkolnych rozgrywek w futbolu, kiedy to chłopcy z drużyny byli nierozłączni. Do rozpoczęcia sezonu rozgrywek było jeszcze mnóstwo czasu, mimo to, kiedy Meg weszła do stołówki, Tim siedział już ze swoimi kolegami.

Potraktowała to jak manifestację z jego strony i zezło-

cita się. Potem złość zaczęła z niej wyparowywać, ale pozostał smutek. Nie czuła się bez winy. Zdawała sobie sprawę, że Timowi należy się coś więcej niż wymuszone przeprosiny. Powinna porozmawiać z nim i spróbować spokojnie wytłumaczyć, o co w sobotę miała do niego żal.

Wiedziała, że musi to zrobić jak najszybciej. Zaraz po tym, jak się dowiem, kto odpowiada za zatrucie wody w Dolinie Dzikich Astrów, obiecała sobie.



Rozdział 12

Kiedy jechała ze szkoły, nie myślała już o Timie. Niepokoiła się, czy zdąży dotrzeć do Doliny Dzikich Astrów, wziąć napełnione słoiki i kwadrans po szóstej być z powrotem w domu.

Pan Bellafointe, kierowca autobusu, był wyjątkowo towarzyskim i rozmownym człowiekiem i zawsze, gdy się zatrzymywał, zamieniał ze wszystkimi wysiadającymi uczniami kilka słów. Nigdy jej to nie przeszkadzało, ale dzisiaj na każdym przystanku ze zniecierpliwieniem spoglądała na zegarek.

Kiedy przyszła kolej na nią, pożegnała się z nim i zanim zdążył ją zagadnąć, szybko wyskoczyła z autobusu. Widziała, że, rozczarowany, kręci głową, ale obiecała sobie, że jutro mu to wynagrodzi, rozmawiając z nim trochę dłużej.

Wpadła do domu tylko po to, żeby zostawić plecak w przedpokoju.

– Idę pojeździć na rowerze! Wróć koło szóstej! – zawołała i nie wiedząc nawet, czy ktoś ją usłyszał, wyszła.

Nigdy jeszcze nie pedałowala z taką zaciekłością jak dzisiaj. Jechała, jak zawsze, prawie środkiem szosy, która w tym miejscu była mało uczęszczana. Tylko raz musiała odbić na pobocze, gdy z naprzeciwka nadjechała jakaś ciężarówka.

Na drodze MacPhersonów zwolniła, ponieważ jej nierówności nie pozwalały na szybką jazdę, ale i tak dotarła do lasu w rekordowym tempie. Nie musiała się już tak spieszyć; wiedziała, że spokojnie zdąży wrócić do domu, zanim pojawi się Josh, mimo to, na tych kawałkach ścieżki, na których było to możliwe, biegła.

Im bliżej była Doliny Dzikich Astrów, tym bardziej narastał w niej niepokój, że nie znajdzie słoików z próbkami. Tłumaczyła sobie wprawdzie, że nie jest to możliwe. Pamiętała dokładnie, gdzie je postawiła. Nie ukryła ich, lecz wydawało jej się zupełnie nieprawdopodobne, by w dolinie, do której od lat nie przychodził nikt poza nią – tego była absolutnie pewna – nagle ktoś miałby się pojawić. Mimo to żałowała, że na wszelki wypadek nie wzięła ze sobą pustych słoików.

Kiedy zobaczyła wysoki czerwony cedr, tknięta złymi przecuciami, znów zaczęła biec.

Wiedziała, że coś się stało, zanim zobaczyła Dolinę Astrów. Gdy mijała ostatnie drzewa, poczuła zapach, ten sam, który roznosił się tu w sobotę. Wtedy poczuła go dopiero przy rozlewisku; dziś docierał aż do lasu. A to oznaczało, że ktoś znowu wlał do wody to świństwo i że

było tego znacznie więcej niż ostatnio. Albo... że stało się to bardzo, ale to bardzo niedawno.

– Cholera! – zakląła wściekła.

Jej złość nie była jednak skierowana przeciwko komuś, kto znów zatrzał wodę. Była zła przede wszystkim na siebie. Przypominała sobie jadący z naprzeciwka samochód, przez który musiała zjechać na pobocze, i dopiero teraz jego obecność na szosie wydała jej się podejrzana.

Beznadziejny ze mnie detektyw, pomyślała. Gdyby miała trochę szybszy refleks, mogłaby znać jego numer rejestracyjny, a tymczasem nie potrafiła sobie przypomnieć nawet jego marki. Wiedziała tylko, że była to czarna ciężarówka i że jechała albo z farmy starego Thomsona, albo od jego najbliższych sąsiadów Williamsów, albo z kurzej fermy, przy której szosa się kończyła.

Nie chcąc tracić czasu, Meg zesłała w dół doliny. Smród chemikaliów przy rozlewisku, był tak intensywny, że musiała zatkać nos.

Plastikowa torba ze stoikami była tam, gdzie ją zostawiła, przy ognistym krzewie. Nie zastanawiając się długo, Meg opróżniła je i jeden z nich, ostrożnie, starając się nie zamoczyć rąk, napełniła cuchnącą wodą z rozlewiska, a drugi ziemią. Na szczęście w sobotę zostawiła tu również łopatę i dzięki temu mogła to zrobić, nie narażając dłoni na kontakt ze skażoną ziemią.

Łopatę zostawiła pod krzakiem, a stoiki wsadziła do torby i chcąc jak najszybciej uciec od wstrętnego odoru, opuściła Dolinę Dzikich Astrów, której nazwę, choć wciąż z dala od rzeczki i rozlewiska kwitły na niej fioletowe astry, powinna raczej zmienić na Cuchnącą Dolinę.

Idąc przez las i potem jadąc przez ziemie MacPhersonów, cały czas wyrzucała sobie, że zbyt wolno skojarzyła fakty.

Gdy dotarła do szosy, spojrzała na zegarek. Była dopiero piąta. Miała jeszcze ponad godzinę, postanowiła więc coś sprawdzić. Nie pojechała prosto do domu, tylko skręciła w prawo w stronę olejarni.

Kilka minut później zatrzymała się przed żelazną bramą i spojrzała na kłódkę. Wyglądała tak samo jak ostatnio – udawała, że broni dostępu do olejarni, choć wcale tej roli nie spełniała. Za to przed bramą na ziemi, w miejscu, w którym była gliniasta i wilgotna, Meg dostrzegła ślady po oponach. Mogłaby przysiąc, że są świeże.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym ruszyła wzdłuż ogrodzenia. Wkrótce znalazła się przy bramie na tyłach olejarni, gdzie ujrzała identyczne ślady. Samochód, który wjechał niedawno na teren fabryczki, wyjechał przez tę bramę na drogę prowadzącą do rzeki. Co do tego Meg była absolutnie przekonana, lecz nie miała pewności, czy była to ta sama czarna ciężarówka, którą widziała na szosie.

Miała natomiast czas, żeby to sprawdzić. Wróciła do roweru i pojechała nie w stronę domu, tylko w przeciwnym kierunku. Po kilku minutach dotarła do odchodzącej w prawo wąskiej drogi wjazdowej na farmę Thomsona. Zwolniła i przez chwilę się wahała, czy w nią nie skręcić. W końcu uznała jednak, że i tak niczego się nie dowie od tego starego kłótliwego odludka, i pojechała prosto. Poza tym moge wstąpić do niego w drodze powrotnej, pomyślała.

Jakieś sześć kilometrów dalej był zjazd w lewo, do Williamsów. Pani Williams i jej mąż byli życzliwymi

ludźmi, a ich syn Daniel przyjaźnił się z młodszym bratem Meg.

Właśnie jego zastała na podwórku.

– Cześć, Daniel! – zawołała.

Chłopak zrobił sobie z dłoni daszek nad oczami, bo słońce oślepiało tak, że nie mógł jej rozpoznać, i dopiero po chwili odpowiedział.

– Cześć, Meg.

Ucieszyła się, że rozmawia z nim, a nie z jego rodzicami; z nim mogła od razu, nie owijając niczego w bawełnę, przystąpić do rzeczy.

– Słuchaj, Daniel, czy jakieś półtorej godziny temu nie wyjechała od was przypadkiem czarna ciężarówka?

Chłopak pokręcił głową.

– Ojciec pojechał do miasta, ale to było ponad dwie godziny temu. No i on ma czerwonego pikapa.

– Wiem, ale może ktoś do was przyjechał?

– Nie, nikogo nie było.

– Jesteś tego pewien?

Daniel, zdziwiony jej dociekliwością, spojrzał na nią trochę podejrzliwie, ale nie przejęła się tym szczególnie. Skoro już zadała sobie trud, żeby dotrzeć aż tutaj, to chciała mieć pewność.

– Jasne – odparł. – Od czasu, jak wróciłem ze szkoły, naprawiam rower – dodał, wskazując na leżącą przed nim na ziemi kupę złomu.

Gdyby jej tego nie powiedział, nigdy by się nie domyśliła, że to coś było kiedyś rowerem.

– No to powodzenia – rzuciła. – I dzięki. Cześć.

– Meg! – zawołał, kiedy była już przy bramie. – A dlaczego pytasz o tę ciężarówkę?

Miała już wcześniej przygotowane kłamstwo na wypadek, gdyby ktoś zadał to pytanie.

– Wypadło mu coś z samochodu i chciałabym mu to oddać.

Jej samej to wyjaśnienie wydawało się mało wiarygodne, ale Daniel przełknął je bez zastrzeżeń.

– Może był u starego Thomsona – powiedziała.

– Coś ty! Niemożliwe, do niego nigdy nikt nie przyjeżdża.

Chłopak potwierdził jej przypuszczenia. Mogła więc spokojnie skreślić tego starego dziwaka ze swojej krótkiej listy. I bardzo ją to ucieszyło.

– Zapytaj na kurzej fermie! – zawołał, kiedy odjeżdżała.

Właśnie to miała zamiar zrobić.

Niecały kwadrans później uraczyła dozorcę na fermie tym samym kłamstwem, które zaserwowała Danielowi, i zapytała o czarną ciężarówkę.

– Nie, panienko, dzisiaj byli tu tylko pracownicy, a żaden z nich nie jeździ ciężarówką. Martinez ma starego chryslera, czarnego, Ryan żółtą toyotę, Hatter granatowego forda pikapa, a Roddy też pikapa, ale nie granatowego, tylko zielonego. To znaczy kiedyś był zielony, bo teraz tyle na nim rdzy, że nawet Roddy pewnie nie pamięta, jakiego był koloru. Ale ja pamiętam.

Meg ucieszyła się, że nie pracuje tu więcej osób, bo nie miała wątpliwości, że gdyby było ich choćby pięćdziesiąt, dozorca wymieniłby wszystkie marki ich samochodów i powiedział, w jakich są kolorach. Wyglądał na solidnego i dobrze poinformowanego człowieka, tak że nie musiała już zadawać dodatkowego pytania: „Czy jest pan pewny?”.

Katherine Parker

Skoro twierdził, że nie było tu dzisiaj żadnej czarnej ciężarówky, to znaczy, że jej nie było.

Wracając do domu z jednej strony zadowolona, że coś jednak udało jej się ustalić, z drugiej wciąż zła na siebie, że tak mało wie o tym czarnym samochodzie.

Miała niejasne wrażenie, że było coś, na co zwróciła uwagę, kiedy koło niej przejeżdżał, ale nie mogła sobie przypomnieć co.



Rozdział 13

Gdy skręciła w drogę prowadzącą do ich domu, zobaczyła wjeżdżający właśnie na ich podwórkę samochód Josha.

Zaczęła mocniej pedałowac i dojechała na miejsce, kiedy chłopak wysiadał.

– Przepraszam – powiedziała. – Zeszło mi trochę dłużej, niż myślałam.

– Nie, to ja jestem trochę za wcześnie.

– Wejdiesz na chwilę? – spytała, wskazując drzwi domu.

– Nie, muszę jechać. Gdzie masz te próbki?

Meg odwiązała torbę ze stoikami, która była porządnie przymocowana do bagażnika, i podała ją Joshowi.

Nie chciała go popędzać, nie mogła się jednak powstrzymać przed zadaniem mu pytania:

- Kiedy będziesz badał te próbki?
- Zaraz.
- Zaraz? - zdziwiła się. - Mówiłeś chyba, że wpadniesz tu po drodze do Tuskaaloosy.
- Właśnie tam jadę. Udało mi się załatwić możliwość korzystania trzy razy w tygodniu z laboratorium chemicznego w ich liceum. Jest znacznie lepiej wyposażone niż nasze.

Meg ucieszyła się, że Josh zabierze się za to tak szybko.

- I jak myślisz - odezwała się nieśmiało. - Kiedy możesz mieć jakieś wyniki?

- Mogę tam być tylko do dziesiątej. Więc albo będę miał je do tego czasu, albo nie będę ich miał w ogóle.

Meg nie bardzo rozumiała, co chciał przez to powiedzieć, ale jej to wyjaśnił.

- Bo widzisz, muszę cię uprzedzić. Jeśli coś tam znajdę, to możesz mieć stu procentową pewność, że to coś tam jest. Ale jeśli powiem, że nic nie znalazłem, to jeszcze wcale nie znaczy, że tam czegoś nie ma. Widzisz, moje możliwości są dosyć ograniczone. Laboratorium chemiczne w liceum w Tuskaaloosie, to w porównaniu z naszym pełnym odjazd, ale jest to nadal tylko szkolne laboratorium.

Meg trochę się zmartwiła, lecz wiara w geniusz Josha pozwoliła jej nie tracić optymizmu.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś wiedział - obiecał. Zastanowił się chwilę, po czym dodał: - Chyba że pojedziesz ze mną.

Meg była tak, ciekawa, co Josh odkryje, że nie wahała się.

- A mogłabym?

- Jeśli nie będziesz mi za bardzo przeszkadzać.

- Obiecuję, że będę siedzieć cicho jak mysz pod miotłą - zapewniła go, unosząc dwa złączone palce.

- No to wsiadaj.

- Powiem tylko mamie, że jadę z tobą do Tuskaaloosy.

Wpadła do domu, dowiedziała się od Luca, że matki i Ralfa jeszcze nie ma, poprosiła, żeby przekazał im wiadomość, i po chwili już siedziała w samochodzie Josha.

- A czego ty się właściwie spodziewasz w tych próbkach? - spytał, kiedy wyjechali na główną drogę.

- Czegoś toksycznego, czegoś, co powoduje usychanie roślin i śmierć zwierząt.

Popatrzył na nią i gwizdnął przeciągle.

Chcąc uprzedzić jego dalsze pytania, powiedziała szybko:

- Tylko proszę cię, nie wyciągaj ode mnie szczegółów. Obiecuję, że wyjaśnię ci wszystko, kiedy... kiedy przyjdzie na to pora.

- W porządku - odparł i o nic więcej już nie pytał.

Meg zamilkła, nagle bowiem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu siedzi w samochodzie obok chłopaka, który nie jest ani jej bratem, ani Timem. Josh był co prawda geniuszem, a nie zwykłym chłopakiem, mimo to czuła się dosyć dziwnie.

Nie boisz się jechać ze mną do tego laboratorium? - zapytał w pewnym momencie.

Spojrzała na niego przerażona. Znała kilku chłopców, u których takie słowa wcale by ją nie zdziwiły, ale po Joshu spodziewała się czegoś więcej niż takich mało wyszukanych damsko-męskich aluzji. Na szczęście nie zdążyła na nie zareagować, okazało się bowiem, że chodzi mu o coś zupełnie innego niż to, o czym pomyślała ona.

– Pamiętasz ten wybuch dwa lata temu?
– Jasne, że pamiętam – powiedziała, odetchnąwszy z ulgą. – Wszyscy pamiętają.
– Potem niektórzy przez kilka tygodni bali się wchodzić do sali chemicznej wtedy, kiedy ja tam byłem. Ale ty, widać, jesteś odważną dziewczyną.
Roześmiała się.
– Niezupełnie. Trochę się jednak boję. Możesz mi obiecać, że nie wysadzisz mnie w powietrze? Mam ważną sprawę do załatwienia.
– Postaram się.
Wjeżdżali już do Tuscaloosy i właśnie mijali bramę fabryki z olbrzymim szyldem „Mornay i spółka. Farby i lakiery”. Pan Mornay, główny udziałowiec, był ojcem Tima.
Josh musiał również zauważyć szyld, bo spytał nagle:
– Pokłóciłaś się z Timem?
– Właściwie nie – odparła wymijająco.
Wyczuł, że nie chce o tym rozmawiać, i nie wypytywał. Zresztą wkrótce i tak podjechali pod liceum i zatrzymali się na opustoszałym parkingu.
Meg, widząc pogaszone okna, zastanawiała się, jak się dostaną do budynku szkoły, ale drzwi były otwarte, a w korytarzu wyszedł im naprzeciw mężczyzna, który wyglądał na woźnego.
– Równo o dziesiątej zamykam! – zawołał za nimi nieuprzejmie, nie odpowiedziawszy uprzednio na ich powitanie.
– To niesamowite, że udało ci się uzyskać pozwolenie na korzystanie z tego – powiedziała Meg, gdy weszli do pomieszczenia, które rzeczywiście w porównaniu z salą

chemiczną w ich iceum wyglądało jak laboratorium NASSA.

Josh uśmiechnął się.
– Ojciec musiał podpisać oświadczenie, że gdyby mi się coś stało, nie będzie rościł żadnych pretensji w stosunku do szkoły, i zobowiązanie, że w razie czego pokryje wszystkie straty – wyjaśnił, stawiając na długim metalowym stole torbę ze słoikami.
– Mam ci w czymś pomóc? – spytała.
– Nie, najlepiej będzie, jak sobie usiądziesz... – rozejrzał się i wskazał najdalsze krzesło od stołu – o tam.
– Rozumiem, mam ci nie przeszkadzać.
Usiadła posłusznie i obserwowała poczynania Josha. Kiedy przypomniała sobie, jak rano, gdy czekała na niego pod szkołą, przyglądała się jego dosyć ślamazarnym i nieskoordynowanym ruchom, nie mogła uwierzyć, że to ten sam chłopak, który teraz tak sprawnie krząta się koło stołu laboratoryjnego.
Zaklął dosyć paskudnie, kiedy otworzył słoik z wodą. Meg pomyślała wtedy, że geniusze nie są tak zupełnie odrębnym gatunkiem. Najwyraźniej mają więcej ludzkich cech, niż jej się wydawało.
– Próba organoleptyczna – powiedział, zbliżając nos do słoika. – Wybacz – zwrócił się do Meg – ale próbować tego nie będę.
O mało nie pękła z ciekawości.
– Wiesz już coś? – spytała. – Domyślasz się po zapachu, co to może być?
– Domyślam się, ale powiem ci dopiero wtedy, kiedy będę miał pewność.
Nie zadawała już więcej pytań; siedziała na samym

brzegu krzesła cicho jak mysz pod miotłą – tak jak obiecała – ale nie spuszczała z niego wzroku, kiedy wlewał wodę do naczynia o nieznanym jej kształcie, potem coś do tego dolewał, potrząsał, jeszcze później coś dosypywał, przelewał do innego naczynia, znów dosypywał, odkładał, podchodził do komputera i coś sprawdzał, kiwał głową, a potem znów wlewał, przelewał, dolewał, mieszał i dosypywał.

Meg od czasu do czasu ukradkiem spoglądała na zegarek. Za kwadrans dziesiąta zaczęła się martwić. Potraktowała poważnie słowa woźnego.

Na szczęście właśnie w chwili, gdy zastanawiała się, czy ten nieuprzejmy facet o dziesiątej pojawi się w laboratorium i ich wygoni, czy po prostu zamknie szkołę i uwięzi ich tu do rana, Josh podniósł głowę znad próbowek i powiedział:

– Jeszcze tylko dwie minuty i będę gotowy.

Nie mogąc się doczekać, zaczęła odliczać sekundy.

Odezwał się, zanim doliczyła do stu.

– W obu próbkach jest ta sama substancja toksyczna...

Nie była, jak on, geniuszem, lecz to wiedziała i bez niego.

– Tego się domyślałam – rzuciła trochę rozczarowana. – Tylko co to jest za związek chemiczny?

Podał jej nazwę związku, która zabrzmiała w jej uszach bardzo groźnie, choć musiała przyznać, że poza nielicznymi wyjątkami – takimi, na przykład, jak dwutlenek węgla – według niej, nazwy wszystkich związków chemicznych wydawały się groźne.

Zanim zdążyła zapytać, co to takiego, Josh kontynuował:

– Nie znam dokładnego stężenia, na to potrzebowalibyśmy trochę więcej czasu. Ale, jeśli ci na tym zależy, mogę to zbadać pojutrze.

– Nie mógłbyś jutro? – spytała, choć wiedziała, że to bezczelność z jej strony po tym, co dla niej już zrobił.

– Nie mógłbym, bo pozwolono mi korzystać z tego laboratorium tylko w poniedziałki, środy i piątki, a jutro jest wtorek.

– A wiesz mniej więcej, czy stężenie tego pierścieniowego sześciowęglowego...?

– Związku aromatycznego pierścieniowego sześciowęglowego – odpowiedział jej, po czym wyrwał z notatnika kartkę, zapisał tę nazwę i podał Meg. – To rodzaj fenolu.

– No więc, czy stężenie tego fenolu jest na tyle duże, że może być szkodliwe dla roślin i zwierząt.

– Szkodliwe? – Josh roześmiał się. – Jest zabójcze. To ci mogę powiedzieć już teraz. – Popatrzył na nią i spoważniał. – Meg, skąd ty to, do diabła, masz?

Wahała się. Korciło ją, żeby go wtajemniczyć w tę sprawę. Była już prawie skłonna to zrobić, ale Josh wycofał się sam.

– W porządku – rzucił. – Pamiętam, co mówiłaś. Powiesz mi w swoim czasie.

– Obiecuję – zapewniła go i zaczęła nasłuchiwać. Wydawało jej się, że na korytarzu słyszy kroki.

Nie myliła się. Po chwili rozległo się wołanie woźnego:

– Za cztery minuty zamykam szkołę!

– Spadamy stąd. Bo on naprawdę gotowy jest nas tu zamknąć – powiedział Josh, po czym wskazał na stoiki. Oba były wypełnione do połowy, ponieważ zarówno

wody, jak i ziemi było więcej, niż potrzebował do badania. – Potrzebne ci to jeszcze będzie?

– Jasne! – To były przecież jej dowody. – Niemal rzuciła się do stołu laboratoryjnego, żeby wsadzić słoiki do torby, w której je przywieźli, lecz chłopak ją powstrzymał.

– Zaczekaj. Z tym się naprawdę trzeba obchodzić bardzo ostrożnie. – Otworzył swój wielki plecak, pogrzebał w nim i wyjął duże plastikowe, szczelnie zamknięte pudełko. Włożył do niego oba słoiki, po czym wręczył je Meg. – Nie wiem, co zamierzasz z tym zrobić, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz ich wyjmować z tego pudełka.

– Obiecuję.

Josh posprzątał szybko na stole i równo o dziesiątej Meg biegła obok niego korytarzem, modląc się w duchu, żeby zegarek woźnego późnił się choćby o pół minuty.

Tak jak przedtem nie odpowiedział na ich powitanie, tak teraz nie odezwał się słowem, kiedy powiedzieli mu „do widzenia”, ale tym się już nie przejmowała; cieszyła się, że udało im się wydostać na zewnątrz.

Na dworze owiało ich rześkie powietrze. Dzień był upalny, ale październikowe noce w Alabamie potrafią być już zimne. Mimo to Meg, choć była w bluzce z krótkimi rękawami, nie czuła chłodu – rozgrzewały ją emocje.

– Wiesz może, przy produkcji czego powstaje ten fenol? – spytała, kiedy wyjechali z parkingu.

– Nie mam pojęcia, ale jak chcesz, mogę gdzieś to znaleźć.

– Nie, nie trzeba – odparła, nie chcąc go fatygować bez potrzeby. Zach, jej internetowy nowy znajomy, obiecał to

dla niej sprawdzić. – I tak zrobiłeś już dla mnie bardzo dużo. Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie ma sprawy, cieszę się, że mogłem ci pomóc. A swoją drogą... – Przerwał, bo zorientował się, że go nie słucha.

Patrzyła na szyld firmy Mornay i Spółka, wiszący nad bramą, która właśnie wtedy, gdy ją mijali, zaczęła się otwierać.

– Zatrzymaj się! – zawoła Meg. – Josh, proszę cię!

Nie miał pojęcia, po co miał to zrobić, ale zahamował ostro, zjechał na pobocze, zaparkował kilkanaście metrów za wjazdem do fabryki, wyłączył silnik i dopiero wtedy zapytał:

– Dlaczego kazałaś mi się zatrzymać?

Ale Meg nie zwracała na niego uwagi; patrzyła na samochód, który wyjechał z bramy, minął ich i jakieś trzysta metrów dalej skręcił w prawo.

– Masz coś do pisania? – zwróciła się do chłopca, gdy tylne światła pojazdu znikły im z oczu.

Sięgnął do plecaka, pogrzebał w nim i po chwili podał jej długopis i jakąś zmiętą kartkę.

– Wystarczy ci to?

– Pewnie, że wystarczy – odparła Meg, po czym szybko coś zapisała i rzuciła: – Możemy jechać.

Josh skinął głową i przekreślił kluczyk w stacyjce.

– Pamiętam – odezwał się półgłosem. – Powiesz mi wszystko w swoim czasie.

– Masz to jak w banku – obiecała, popatrzyła na kartkę, złożyła ją na cztery i schowała głęboko do kieszeni dzinsów.

Od momentu, kiedy zobaczyła Josha pod domem, ani

Katherine Parker

razu nie pomyślała o czarnej ciężarówce. Ciekawość tego, co uda mu się odkryć, zepchnęła na bok wszystkie inne myśli, również to silne wrażenie, że w samochodzie, który po południu przejechał obok niej szosą, było coś, co zwróciło jej uwagę.

Przezucie jej nie omyliło. Czarna ciężarówka miała głębokie wgniecenie w prawym błotniku, ale Meg przypomniała sobie o tym dopiero przed chwilą, gdy zobaczyła ją wyjeżdżającą z bramy Mornay i Spółka.

Miała już w rękę właściwie wszystko, czego potrzebowała. Musiała jeszcze tylko skontaktować się z Zachem i dowiedzieć się, czy ten rodzaj fenolu powstaje przy produkcji farb i lakierów.

Nie zwracając uwagi na to, że Josh prowadzi samochód, nachyliła się do niego i pocałowała go w oba policzki.

– Hej – rzucił zaskoczony. – Rano obiecywałaś, że nie będziesz mnie podrywać.



Rozdział 14

Ostatnio bywasz w domu rzadkim gościem – powiedziała matka, kiedy Meg weszła do kuchni.

Od czasu, jak wprowadził się do nich Ralf, wieczorne życie rodzinne skupiało się właśnie tutaj. Przez kilka tygodni Meg i jej bracia zaraz po kolacji, jedno za drugim, wymykali się do salonu, matka i Ralf zostawali jednak w kuchni.

Meg, jako pierwsza z rodzeństwa odkryła, że wieczory spędzane tutaj z nimi, przy rozmowie, mogą być znacznie przyjemniejsze niż siedzenie przed telewizorem. Potem przekonał się do tego Luc, a na końcu Steve.

Dzisiaj, choć pewnie kolację zjedli już dawno temu, wszyscy czworo siedzieli przy kuchennym stole.

– Przepraszam – rzuciła. – Musiałam coś załatwić w Tuscaloosie.

- Akurat! – prychnął Luc, po czym obwieścił wszystkim obecnym: – Meg ma nowego chłopaka.
- Przestań opowiadać głupoty.
- A co, może nie? To z kim niby byłaś w Tuscaloosie?
- Nie twoja sprawa – burknęła.

Nigdy się nie przejmowała docinkami młodszego brata i najprawdopodobniej dzisiaj również nie wzięłyby ich sobie do serca, gdyby nie to, że mama zaczęła jej się przyglądać tak jakoś dziwnie. Udając, że tego nie dostrzega, zabrała się za *gambo*, które Ralf podgrzał jej w mikrofalówce. Wylądowała z niego krewetki, które lubiła najbardziej, i odsuwała na bok okrę, za którą nie przepadała.

- Dodałeś sasafras? – spytała Ralfa, kiedy poczuła intensywny zapach.

- A co to byłoby za *gambo* bez sasafrasu?

- Racja – rzuciła, wylądowując z zawieszistej zupy wielką mięsistą krewetkę.

Pomyślała o drzewie sasafrasowym rosnącym w Dolinie Dzikich Astrów i apetyczny aromat parującego *gambo* przypomniał jej o innym, zdecydowanie mniej przyjemnym zapachu – zapachu fenolu.

A wtedy przestała się już bawić w wylądowanie krewetek, jadła wszystko, co nabrało jej się na łyżkę, nawet okrę. Chciała jak najszybciej skończyć, żeby wysłać e-mail do Zacha i uzyskać absolutną pewność.

Ale kiedy wstawała od stołu, mama zatrzymała ją.

- Nie idź jeszcze do siebie – powiedziała. – Chciałabym z tobą chwilę porozmawiać.

Meg czuła, że coś wisi w powietrzu, ale liczyła, że uda jej się to odwlec w czasie, straciła jednak nadzieję, kiedy Ralf wstał od stołu i zwrócił się do Luca i Steve'a:

- No to zmywamy się, chłopaki. Nie będziemy słuchać babskich pogaduszek.

- Czy to prawda? – spytała matka, gdy zostały same.

- Co?

- To, o czym mówił Luc.

- Że mam nowego chłopaka? Skąd! – rzuciła mocno wzburzona dziewczyna. – Mamo, czy ty nie znasz Luca?

- Znam, i możesz być pewna, że nie przejmowałabym się tym, co mówi, gdybym nie miała własnych oczu. – Matka nie spuszczała wzroku z jej twarzy. – Meg, przecież ja widzę, że coś się dzieje, że między tobą a Timem coś się popsulo.

- Może i się popsulo, ale to jeszcze wcale nie znaczy, że mam nowego chłopaka – powiedziała córka, podnosząc głos prawie do krzyku.

- Z kim w takim razie byłaś w Tuscaloosie?

- Z Joshem Bloomem.

- A więc jednak.

Meg coraz bardziej traciła cierpliwość.

- Jezu – westchnęła, wznosząc oczy do sufitu. – Czy ty nie słyszałaś, co powiedziałam. Byłam z Joshem Bloomem, a Josh Bloom nie jest chłopakiem.

- Nie? – spytała zdziwiona matka.

- Oczywiście, że nie. Josh jest geniuszem.

Mama roześmiała się głośno.

- Nie wiedziałam, że jest jeszcze jakaś trzecia pleć.

Napięta atmosfera nagle się rozładowała. Matka widać doszła do wniosku, że córka nie powiedziałaaby czegoś takiego o kimś, kto naprawdę byłby jej chłopakiem.

- Josh trzy razy w tygodniu może korzystać z laboratorium chemicznego w liceum w Tuscaloosie. Pojechałam

z nim, bo właśnie dzisiaj robił doświadczenie, którego wyniki były mi potrzebne – powiedziała Meg, próbując formułować to tak, żeby w razie czego nie można jej było zarzucić kłamstwa, a mama na szczęście nie wypytywała o szczegóły.

– Przepraszam cię, kochanie, wiesz, że zwykle staram się nie wtrącać w twoje sprawy, ale odniosłam ostatnio wrażenie, że jesteś trochę zagubiona, i boję się, żebyś nie zrobiła czegoś, czego mogłabyś potem żałować.

– Masz rację – przyznała Meg. – Miałam ostatnio kilka problemów, ale poradzę sobie z nimi. Właściwie to już sobie poradziłam – dodała, choć wiedziała, że o ile była o krok od załatwienia jednego nich, o tyle ten drugi wydawał się nie do rozwiązania. Zwłaszcza po tym, jak zobaczyła czarną ciężarówkę wyjeżdżającą z fabryki, w której ojciec Tima miał większość udziałów.

Matka musiała dostrzec rozterkę malującą się na jej twarzy, bo przez chwilę patrzyła jej w oczy, a potem zapytała:

– Jesteś pewna, że sobie z tym poradziłaś?

Meg bez przekonania skinęła głową i wstała od stołu.

– Muszę jeszcze coś zrobić na jutro – powiedziała i wyszła z kuchni.

Przechodząc przez salon, zobaczyła, że Ralf i jej bracia włączyli któryś ze sportowych kanałów, więc nawet nie próbowała odciągać uwagi Steve'a od telewizora. Poszła do jego pokoju włączyła komputer, zalogowała się na tej samej stronie co poprzedniego dnia i wysłała wiadomość do Zacha, w której prosiła go o sprawdzenie, czy związek aromatyczny pierścieniowy sześciowęglowy może powstawać przy produkcji farb i lakierów.

Nie musiały długo czekać na odpowiedź.

Dwadzieścia minut później rozległo się piknięcie sygnalizujące nadejście wiadomości, która była krótka.

„Gratuluję, szybka jesteś. Owszem ten fenol, o którym pisesz, powstaje między innymi przy produkcji farb i lakierów. Powodzenia. Zach”.

Mogła być z siebie dumna. W ciągu zaledwie dwóch dni udało jej się rozwiązać bardzo ważny dla niej problem, ale nie potrafiła się z tego cieszyć, wiedziała bowiem, że wynik jej prywatnego dochodzenia jeszcze bardziej zagmatwa i tak już trudne relacje z Timem.



Rozdział 15

Kiedy zobaczyła go na przerwie po drugiej lekcji, idącego naprzeciwko niej korytarzem, jeszcze miała nadzieję, że pomachają do siebie z daleka, a nawet jeśli chwilę ze sobą porozmawiają, to będą to jakieś nic nie znaczące słowa, na przykład o matematyce, która się na nią uwzięła i znowu wyrwała ją do odpowiedzi, albo on opowie jakiś dowcip, który właśnie usłyszał od jednego z kolegów. O czymkolwiek, byle nic była to ta poważna rozmowa, do której nie była jeszcze gotowa.

Nie zwolniła kroku, gdy się do siebie zbliżali, ale Tim zatrzymał się i chwycił ją za ramię, nie pozostawiając jej wyboru.

– Mówiłaś, że powinniśmy porozmawiać – powiedział zduszonym ze zdenerwowania głosem.

Meg czuła, że lekko drżą mu palce, które wciąż trzymał

na jej ramieniu. Znała dłonie Tima i lubiła, kiedy jej dotykał, ale dziś nie sprawiło jej to przyjemności. Cofnęła się o krok i jego ręka na sekundę zawisła w powietrzu.

– Ale ty, oczywiście, byłaś znowu baaaaardzo zajęta. Wczoraj długo nie mogła zasnąć. Myślała o Dolinie Dzikich Astrów, o skażonej wodzie, o martwym Samie, uschniętych roślinach i o Timie. O nim myślała przede wszystkim. Próbowwała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy zdaje sobie sprawę, że to nikt inny, jak jego ojciec jest za wszystko odpowiedzialny.

Nie potrafiła na nie odpowiedzieć, ale jej uczucie do Tima, choć powstały na nim rysy, wciąż jeszcze nie wygasto. Dalej uważała go za swojego chłopaka. A skoro tak, to chciała wierzyć, że o niczym nie wiedział.

Nie była tylko pewna, czy on będzie ją uważał za swoją dziewczynę, kiedy się dowie, kto stoi za zdemaskowaniem ciemnych sprawek, w które jest zamieszana firma jego ojca. Zdawała sobie sprawę, że po czymś takim może się już nigdy do niej nie odezwać, i bardzo ją to martwiło, ale lęk przed tym nie mógł jej powstrzymać przed zrobieniem tego, co traktowała jako swój obowiązek.

Zrozumie to, jeśli mu naprawdę na mnie zależy, myślała, zasypiając.

Rano obudziła się, wierząc, że Tim ma zielonego pojęcia, jak jego ojciec pozbywa się toksycznych odpadów ze swojej fabryki. A to, że w sobotę w Dolinie Dzikich Astrów zachował się inaczej, niż to sobie wyobrażała... Ona przecież też nie lubiła chodzić na mecze futbolowe i nie płakała, kiedy jego drużyna przegrywała w między-

szkolnych rozgrywkach, tak jak to robiły dziewczyny niektórych jego kolegów. I Tim nigdy nie miał o to do niej pretensji.

Tak było rano, ale teraz, kiedy usłyszała to „baaaaardzo” i zobaczyła złośliwy uśmiech na jego twarzy, zapomniała o tym. Teraz nie miała wątpliwości, że Tim jest taki sam jak jego ojciec, i nie potrafiła zapanować nad złością.

– Owszem, byłam baaaardzo zajęta! – Zdawała sobie sprawę, że krzyczy i że każdy, kto przechodził obok, musiał to słyszeć, nie przejęła się tym jednak. – Byłam zajęta, bo obchodzą mnie różne rzeczy. Ty, oczywiście, tego nie zrozumiesz. Nie twierdzą, że cię nic nie obchodzi. Oczywiście, że cię obchodzi. – Czują, że traci nad sobą kontrolę. Słowa same wymykały jej się z ust. – Obchodzi cię to, że jesteś głodny i masz ochotę pojechać na pizzę do Tuscaloosy. – Spojrzała na jego bluzę od Kevina Kleina. – Obchodzą cię markowe ciuchy. Obchodzi cię twoja nowa toyota. Ale nie zadajesz już sobie trudu, żeby się zastanowić, w jaki sposób twój tatuś zarabia pieniądze, żeby ci ją kupić. To cię już nie obchodzi.

– Jesteś niesprawiedliwa – rzucił Tim, kiedy udało mu się na chwilę przerwać jej słowotok.

– Nie, nie jestem niesprawiedliwa. Jestem po prostu szczerą.

– Tylko, że ja nie mam ochoty słuchać dalej tych bzdur, które wygadujesz. Chyba że mi wreszcie powiesz, o co ci naprawdę chodzi.

– Chcesz wiedzieć, o co mi chodzi? – Meg zauważyła, że ich kłótnia wzbudza na szkolnym korytarzu coraz większą sensację, spróbowała więc mówić trochę ciszej. – Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Bardzo byłbym ci wdzięczny, gdybyś mogła mi to wytłumaczyć.

– No więc chodzi mi o to, że przez takich jak ty zatruwane są rzeki, usychają rośliny, giną zwierzęta.

Oczy Tima stawały się coraz bardziej okragłe.

– Oszalałaś?! A co ja mam z tym wspólnego?

– Na przykład to, że twój ojciec, żeby kupić ci samochód, musiał najpierw zarobić na niego pieniądze, a zarabia je, pozbywając się nielegalnie toksycznych odpadów ze swojej fabryki

Otworzył usta, chcąc zaprotestować, lecz Meg nie dała mu dojść do głosu.

– Tylko mi nie mów, że o niczym nie wiesz, bo nawet jeśli tak jest, to nie jest to dla ciebie żadne wytłumaczenie. Jeżeli naprawdę nie masz o niczym pojęcia, to właśnie dlatego, że nic cię nie obchodzi.

– Mogłabyś mówić jaśniej?

– Jaśniej?!

– Tak. O co ci konkretnie chodzi?

– O czarną ciężarówkę, która wywozi fenol z fabryki twojego ojca i wlewa go do rzeki na ziemi MacPhersonów.

– Ty naprawdę oszalałaś! – zawołał Tim. Jego podniesiony głos zabrzmiał tym donośniej, że na korytarzu zrobiło się pusto. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na dzwonek i na to, że wszyscy poszli już do klas.

– Jeśli przejmowanie się tym, co dzieje dookoła, jest przejawem szaleństwa, to owszem, może i jestem szalona. Ale wolę to niż tę twoją obojętność – powiedziała Meg, odwróciła się na pięcie i odeszła.



Rozdział 16

Meg wychodziła ze szkoły z mocnym postanowieniem, że kiedy tylko wróci do domu, poprosi Steve'a, żeby zawiózł ją do Tuscaloosy, i uda się na policję. Zebrała już wszystkie fakty, o których pisał Zach, nie miała więc powodu z tym zwlekać. Kiedy jednak w autobusie zaczęła wszystko jeszcze raz analizować, doszła do wniosku, że jest w tym pewna luka. Wciąż nie mogła udowodnić, że czarna ciężarówka z wgniecionym prawym bokiem, którą widziała na szosie, a potem wyjeżdżającą z bramy firmy Momay i Spółka, to ten sam samochód, który pozostawił ślady nad rzeką.

W pewnej chwili w jej głowie zaświtał pewien pomysł. Choć sekundę później uznała, że jest zbyt ryzykowny, i odrzuciła go, uparcie powracał, aż w końcu zaczęła go poważnie rozważać. A kiedy szkolny autobus zbliżał się

do miejsca, w którym wysiadała, była zdecydowana spróbować.

– Do widzenia – rzuciła kierowcy. Pamiętała, że wczoraj obiecywała sobie, że dzisiaj pogawędzi z nim dłużej, ale znów jej się spieszyło.

Zobaczyła rozczarowanie na twarzy pana Bellafointe'a, ale uśmiechnęła się tylko przepraszająco, wyskoczyła z autobusu i pobięła do domu.

Odetchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się od Luca, że Steve'a jeszcze nie ma. Dzięki temu nie musiała tracić czasu na przekonywanie starszego brata, żeby jej pożyczył swoją kamerę. Potem, kiedy weszła do jego pokoju i zobaczyła panujący w nim bałagan, nie była już pewna, co trwałoby dłużej – przekonywanie go czy szukanie w tym rozgardiaszu.

Po kilku minutach poszukiwań znalazła kamerę w jednej z szuflad komody, a trzy kwadranse później siedziała już, ukryta za krzakami, próbując sobie przypomnieć, jak się ją obsługuje. Steve objaśniał jej to kiedyś, ale było to na tyle dawno, że zdążyła zapomnieć i teraz musiała do wszystkiego dochodzić sama.

Pół godziny później siedziała już z obiektywem skierowanym na drogę w miejscu, w którym dochodziła do rzeki, gotowa w każdej chwili, kiedy tylko usłyszy silnik nadjeżdżającego samochodu, nacisnąć guzik i rozpocząć nagrywanie.

Tyle że nie było co nagrywać.

Po trzech godzinach kucania za krzakami Meg zdreptała nogi, słońce zaszło, a nad rzeką nikt się nie pojawił.

Podobnie było nazajutrz. Zaczynała tracić nadzieję, ale postanowiła spróbować jeszcze raz. Jeśli jej się nie uda, pójdzie do szeryfa z tym, co ma.

Kiedy trzeciego dnia dotarła do rzeki, stwierdziła, że zapach fenolu jest ledwie wyczuwalny. Z jednej strony ucieszyło ją to, oznaczało bowiem, że od poniedziałku nikt nie skaził rzeki. Za każdym razem, gdy tu jechała, liczyła się z tym, że czarna ciężarówka mogła się zjawić wcześniej, kiedy ona była w szkole, a wtedy całe to jej wyczekiwanie poszłoby na marne. Z drugiej strony, martwiła się, ponieważ czas zacierał ślady. Woda w rzece mogła już nie być skażona.

I kto mi teraz uwierzy, że pobrałam moje próbki tutaj? – zastanawiała się zmartwiona, kiedy nagle coś zakłóciło panującą tu idealną ciszę.

Meg zamarła i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili nie miała już wątpliwości; to był warkot silnika.

Przerażona, przesunęła się lekko w prawo, tam gdzie krzak, za którym kuciała, miał gęściejsze gałęzie, i ustawiła obiektyw.

Samochód był coraz bliżej. Czuliła, jak poca jej się dłonie, w których kurczowo trzymała kamerę. Miała ochotę uciec.

Nie uciekła chyba tylko dlatego, że lęk sparaliżował ją tak, że nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Nie była nawet w stanie nacisnąć na przycisk włączający nagrywanie.

Zrób to, nakazała sobie. Skoro i tak tutaj siedzisz i się narażasz, to przynajmniej spróbuj coś nagrać.

Zdażyła poruszyć wskazującym palcem prawej ręki i nacisnąć guzik, kiedy usłyszała za plecami chrzęst łamanych gałęzi i sekundę później ktoś chwycił ją mocno i przykładając dłoń do ust, odciągnął kilka metrów w tył.

Kiedy próbowała krzyknąć, dłoń zacisnęła się na jej ustach i wydobył się z nich tylko zduszony jęk.

Dopiero kiedy usłyszała za sobą ciche męskie głosy, zorientowała się, że ten ktoś, kto ją trzyma, nie jest sam, nie wiedziała tylko, czy to polepsza jej sytuację, czy ją pogarsza.

– Spokojnie, nic ci nie grozi – szepnął jej do ucha mężczyzna, ten, który ją trzymał. Odciągnął ją o kilka kolejnych metrów do tyłu, i wciąż trzymając dłoń na jej ustach, obrócił Meg o sto osiemdziesiąt stopni.

Zobaczyła przed sobą trzech mężczyzn w mundurach. Okrągłą pocziwą twarz jednego z nich dobrze znała z widzenia. To był pan Callahan, okręgowy szeryf z Tuscaloosy.

Silnik nadjeżdżającego samochodu zawarczał kilkanaście metrów od nich.

Meg odwróciła głowę, ale nie zobaczyła czarnej ciężarówki. Ona, szeryf i pozostali policjanci stali odcięci od drogi gestymi, wysokimi krzewami.

Pan Callahan przyłożył palec do ust, nakazując dziewczynie milczenie.

– O nic się nie martw – szepnął. – Już ich mamy.

Potem wszystko działo się tak szybko, że nie potrafiłaby dokładnie odtworzyć przebiegu wydarzeń.

Ona i jeden z policjantów pozostali za krzewami, reszta – okazało się, że dwóch innych ludzi szeryfa ukryto się w zaroślach po drugiej stronie drogi – aresztowało kierowcę czarnego wozu i jego pomagiera, zanim udało im się spuścić do rzeki kilkaset litrów fenolu.

Meg ucieszyła się, kiedy pan Callahan zaproponował, że wsadzą jej rower do jednego z policyjnych samochodów, które stały ukryte w lesie, i podwiozą ją do domu. Wszystko

zakończyły się lepiej, niż to sobie wyobrażała. Wiedziała, że nic jej już nie grozi, mimo to wciąż drżała, kiedy wyciągała z krzaków rower, który wcześniej tam zostawiła, i prowadziła go do radiowozu.

Szeryf chyba to dostrzegł, ponieważ uśmiechnął się, poklepał ją po ramieniu i powiedział:

– No, już dobrze. Nie masz się czego obawiać. Dopadliśmy ich. – Po chwili jednak jego twarz przybrała srogi wyraz. Lypnął na Meg i pogroził jej palcem. – Czegoś ty tam szukała, dziewczyno?

– Tego samego co pan i pana ludzie – odparła nieśmiało.

Szeryf pokręcił głową.

– I co, myślałaś, że sama sobie poradzisz z tymi dwoma drabami?

– Nie zamierzałam z nimi walczyć.

– To po co tam poszłaś?

Wskazała kamerę, którą trzymała na kolanach.

– Chciałam zdobyć dowody.

– A gdyby ci dwaj zobaczyli cię?

Wolała sobie tego nawet nie wyobrażać. Samo wspomnienie paralizującego lęku, który ogarnął ją, gdy usłyszała zbliżający się do rzeki samochód, było wystarczająco okropne.

– Byłam dobrze ukryta za krzakami – odparła.

Ponury wyraz wolno zniknął z twarzy pana Callahana.

– Skąd wiedziałaś, że będą tam dzisiaj? – zapytał.

– Nie wiedziałam. Siedziałam za tymi krzakami od trzech dni, licząc na to, że w końcu się pojawią – wyjaśniła, po czym dodała: – Mam w domu próbki ziemi i wody, które pobrałam w poniedziałek, krótko po tym, jak wylali to świństwo do rzeki.

– Dlaczego nie przyszedł z tym od razu do mnie?

Meg wołała mu nie wyjawiać prawdziwych powodów. Nie chciała mówić o tym, co pisał jej Zach o opieszałości policjantów. Szeryf Callahan, jak mogła się naocznie przekonać, wcale taki nie był.

Co więcej, był spostrzegawczy. Chwila wahania dziewczyny wystarczyła mu, żeby się domyślił.

– Nie miałaś do nas zaufania, co? Nie wierzyłaś, że potraktujemy cię poważnie, prawda?

Tak rzeczywiście było i Meg poczuła się teraz bardzo głupio.

– Wybierałam się z tym do pana – powiedziała cicho. – Chciałam tylko zebrać więcej dowodów.

Szeryf pokiwał głową.

– W porządku – rzucił. – Ale następnym razem przychodź do nas od razu, zamiast pakować się w jakieś niebezpieczne sytuacje.

Meg cały czas spodziewała się, że ją zapyta, co właściwie robiła na terenie MacPhersonów, ale to go chyba specjalnie nie interesowało.

Było za to coś, co interesowało ją, i to bardzo.

– Szeryfie – odezwała się, gdy zbliżali się już do jej domu. – A skąd pan i pana ludzie wiedzieliście o tym, że oni tam dzisiaj będą?

Pan Callahan spojrział na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie mogę ci tego zdradzić. To tajemnica służbowa.



Rozdział 17

Dolina Dzikich Astrów nie była już zagrożona. Nie wprawdzie nie przywróci życia Samowi, Meg miała jednak nadzieję, że z czasem zniknie większość śladów skażenia rzeki – ognisty krzak znowu zacznie rodzić krwistoczerwone owoce, a trawa przy rozlewisku odzyska dawną soczystą zielenią.

Mimo to tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Choć wszystko skończyło się dobrze i emocje opadły, za każdym razem przesywał ją dreszcz przerażenia, kiedy przypominała sobie krępujące ją ramię i dłoń zastaniającą usta.

Dopiero kiedy policyjny wóz, którym jechała, zbliżał się do jej domu, uświadomiła sobie w pełni, na jakie narażała się niebezpieczeństwo. Poprosiła szeryfa, żeby wysadził ją trochę wcześniej, a ten domyślił się, że

dziewczyna próbuje ukryć swą eskapadę przed rodzicami, uśmiechnął się, pogroził palcem, ale spełnił jej prośbę.

Meg nie opowiedziała o niczym ani mamie, ani Ralfowi, ani braciom, zdawała sobie bowiem sprawę, że mogłoby się to skończyć szlabanem na rowerowe wyprawy.

Teraz, leżąc w łóżku i przypominając sobie każdy mrozący krew w żyłach moment, cieszyła się, że zachowała to w tajemnicy. Miała za sobą najbardziej emocjonujący dzień w życiu. Przeżyła coś, co dotychczas widziała tylko w filmach, nie więc dziwnego, że nie mogła zasnąć.

Tylko że powód bezsenności był zupełnie inny. Meg nie wyobrażała sobie, jak nazajutrz spojrzy w oczy Timowi. Fakt, że ostatecznie nie musiała iść na policję, ponieważ szeryf dowiedział się o zatruciu rzeki z jakiegoś innego – nieznanego – źródła, tylko nieznacznie poprawiał jej sytuację.

Zastanawiała się, czy ojciec Tima już o wszystkim wie. Niewykluczone, że szeryf zwrócił się do niego jeszcze dzisiaj, zaraz po ujęciu tych dwóch drabów, i pan Mornay opowiedział o tym synowi.

Jeśli tak było, Tim nie miałby wątpliwości, że to ona poinformowała władze o skażeniu rzeki, i szczerze mówiąc, niewiele by się mylił. To tylko przypadek, że tego nie zrobiła. Gdyby ciężarówka zjawiała się nad rzeką wczoraj albo przedwczoraj, Meg od razu poszłaby do biura szeryfa.

Nie myślała jednak tylko o swoim udziale w tej sprawie. Nawet gdyby nie miała z nią bezpośredniego związku, i tak by się martwiła.

Znała chłopców, którzy w podobnej sytuacji nie przejmowałiby się kłopotami swoich ojców, ale Tim miał

świetny kontakt z tatą i fakt, że policja oskarży pana Mornaya o przestępstwo albo współudział w nim, na pewno będzie dla niego szokiem.

Niezależnie od tego, co powiedziała mu w czasie kłótni na szkolnym korytarzu, potem, gdy ochłonęła, kurczowo trzymała się myśli, że on o niczym nie wiedział. Nie podobało jej się zachowanie Tima w Dolinie Dzikich Astrów, lecz obojętność wobec niszczenia przyrody to jedno, a tolerowanie łamania prawa to zupełnie inna sprawa. Tylko że to prawo łamał, niestety, jego ojciec.

Tim będzie rozdarty między lojalnością wobec ojca, którego kochał, a swoją dziewczyną... jeśli w ogóle była jeszcze jego dziewczyną, co po ich wtorkowej kłótni wydawało się bardzo wątpliwe.

Właśnie to nie dawało Meg spokoju, czuła bowiem, że jeśli Tim stanie przed takim wyborem, ona znajdzie się na straconej pozycji.

Ta myśl towarzyszyła jej w drodze do szkoły, nie mogła jej się pozbyć na pierwszej lekcji, a kiedy zobaczyła Tima na przerwie, zrozumiała, że nie ma już „jeśli” – była na straconej pozycji.

– Cześć – rzucił zdławionym, zupełnie nie swoim głosem.

Wystarczyło, że zerknęła na jego twarz. Wiedział; co do tego nie miała wątpliwości, podobnie jak co do tego, że o wszystko obwinia ją. Jego smutne spojrzenie wydawało się jednym wielkim wyrzutem.

Meg przyjrzała się jego twarzy; była blada, a sińce pod oczami świadczyły o nieprzespanej nocy. Takie same widziała u siebie rano, kiedy myła w łazience zęby.

– Cześć, Tim – odparła cicho. Chciała mu powiedzieć, że jest jej bardzo przykro, że mu współczuje, że kiedy rozpoczęła swoje śledztwo, nie spodziewała się, że taki będzie jego rezultat, że wciąż jej na nim zależy, że powinni porozmawiać i spróbować sobie wszystko wyjaśnić, że...

Ale on odwrócił się na pięcie i odszedł. Nawet kiedy zniknął za drzwiami jednej z klas, wciąż widziała to jego pełne wyrzutów spojrzenie.

Tego dnia natknęła się na niego jeszcze kilka razy i za każdym razem nie dostrzegała w jego wzroku nic poza zalem do niej. Również w stołówce, gdy kątem oka zerknęła na stolik po przeciwnej sali, przy którym siedział z kilkoma chłopakami z drużyny, i ich spojrzenia się skrzyżowały, widziała tylko wyrzuty.

– Nie spotykasz się już z Timem? – zapytała nagle Mary Jo, za którą nie przepadała, ale kiedy ta pięć minut wcześniej podeszła wraz ze swoją przyjaciółką Samantha do stolika, który zajmowały Meg i jej koleżanka Sue, i spytała, czy mogą się przysiąść, żadna z tych dwóch nie potrafiła na poczekaniu znaleźć pretekstu, żeby odmówić. – Bo jeśli nie – rzuciła, nie czekając na odpowiedź Meg – to ja się chętnie koło niego zakręcę.

Nie, nie waz się! – krzyczało coś w Meg. Wiedziała, że jeśli Mary Jo postanowi „zakręcić się” koło jakiegoś chłopaka, to robi to skutecznie.

Już po pierwszym dzisiejszym spotkaniu z Timem zdała sobie sprawę, jak niewielkie są szanse, żeby wszystko między nimi jakoś się ułożyło, i to przygnębiło ją o wiele bardziej, niż się spodziewała. Ale teraz myśl o tym, że

Tim nie tylko nie będzie jej chłopakiem, ale zostanie chłopakiem innej, po prostu ją przeraziła.

– W razie czego nie będziesz miała do mnie pretensji – ciągnęła Mary Jo.

Meg spojrzała na nią, zastanawiając się, czy w tym, co powiedziała, nie było znaku zapytania, czy tylko ona go nie usłyszała. Chciała obrócić to wszystko w żart, powiedzieć coś dowcipnego, nic takiego jednak nie przychodziło jej do głowy. Nie była w stanie wydusić z siebie czegokolwiek, a już na pewno nic zabawnego.

Pomoc przyszła ze strony Sue, która nie lubiła Mary Jo na tyle, że nie darowałaaby sobie, gdyby przegapiła okazję na utarcie jej nosa.

– Co ci przyszło do głowy, że Meg nie spotyka się już z Timem? Oczywiście, że się spotykają.

– W zeszłą sobotę widziałam go w Tuscaloosie – odparła Mary Jo. – Bez niej – dodała po chwili triumfalnym tonem.

A więc jednak pojechał na tę swoją pizzę, pomyślała Meg i choć właściwie o niczym to nie świadczyło, poczuła się rozczarowana.

– I co z tego? – broniła jej dalej Sue. – Meg w sobotę coś wypadło i nie mogła jechać z nim do Tuscaloosy. Prawda, Meg?

Przytaknęła, z trudem przelicykując jedzenie.

– Aha – powiedziała Mary Jo i skinęła głową, tak jakby w to uwierzyła, lecz jej uśmiech i spojrzenie mówiły coś zupełnie innego.

Meg ucieszyła się, kiedy tamta, popędzając swoją przyjaciółkę, szybko zjadła lancz i obie wstały od stolika. Po chwili jednak zrozumiała, dokąd się tak spieszyła.

Mary Joe nie ruszyła bowiem w kierunku wyjścia ze stołówki, lecz w stronę stolika, przy którym siedział Tim i kilku innych chłopaków.

Meg nie miała najmniejszych wątpliwości, że kiedy się zatrzymała i zaczęła coś mówić, nie zwracała się do tych innych.

Mimo starań Sue, Mary Jo postanowiła „zakreślić się” koło Tima i zabrała się do tego od razu.



Rozdział 18

Co, przyszła już ta pora?

– Pora? Jaka pora? – Meg stała naprzeciw Josha, ale patrzyła ponad jego ramieniem na oddalającą się korytarzem grupę chłopców, wśród których mignęła jej sylwetka Tima. Po wczorajszym lanczu w stołówce długo myślała o sobie i o nim i w końcu doszła do wniosku, że ma dwa wyjścia: albo sama zacznie działać, albo będzie patrzeć, jak Mary Jo sprząta jej sprzed nosa chłopaka, na którym wciąż bardzo jej zależało. Wybrała to drugie rozwiązanie i postanowiła jak najszybciej z nim porozmawiać. Tylko że nie było to takie proste, właściwie zupełnie niewykonalne, ponieważ wyraźnie jej unikał. Właśnie przed chwilą straciła ostatnią tego dnia szansę na rozmowę z nim. Trudno, zadzwonię do niego, pomyślała, patrząc, jak Tim wychodzi ze szkoły.

– Obiecałaś, że powiesz mi, o co chodzi z tymi próbkami, kiedy przyjdzie pora – przypomniał jej Josh.

– Ach, tak. Przepraszam. – Wiedziała, że jest mu winna wyjaśnienia, i właściwie nic nie stało już na przeszkodzie, żeby spełniła tę obietnicę. Nic poza tym, że myślała wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu i zadzwonić do Tima. – Pamiętam, oczywiście, ale poczekaj z tym, proszę, do poniedziałku.

– W porządku – rzekł Josh. – Zresztą teraz i tak nie dowiedziałbym się od ciebie nic sensownego.

Meg spojrzała na niego, zupełnie nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Masz na głowie inne sprawy, ważniejsze niż jakieś tam próbki – wyjaśnił, wskazując na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Tim.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy ważniejsze, ale ważne.

– Rozumiem.

– Naprawdę? – Nie mogła uwierzyć, że geniusze potrafią zrozumieć, że sprawy sercowe mogą być równie ważne, jak „jakieś tam próbki”. Szczercze mówiąc, wątpiła, czy w ogóle wiedzą, że coś takiego jak sprawy sercowe istnieją. Chociaż, z drugiej strony, nawet taki Einstein miała podobno żonę.

– Chyba tak – odparł Josh. – Hej, za kogo ty mnie właściwie uważasz? Za jakiegoś matola? Jeśli tak, to muszę cię wyprowadzić z błędu. Rozumiem znacznie więcej, niż ci się wydaje. I widzę więcej, niż sobie wyobrażasz. Widziałem, na przykład, jak przed chwilą patrzył na ciebie ten twój chłopak.

Ona też widziała, jak patrzył na nią Tim – spojrzeniem,

w którym nie dostrzegła nic poza wyrzutami i złością. Mimo to zapytała:

– Jak na mnie patrzył?

– Sama dobrze wiesz jak – odparł Josh, a po chwili dodał: – Sluchaj, Meg, nie wiem, co narozrabiłaś, ale mam wrażenie, że narozrabiłaś porządnie, i jeśli ci na nim zależy, spróbuj to wyprostować, i to jak najszybciej.

– Miałam właśnie taki zamiar.

– No to na co czekasz?

– Już lecę. Cześć! – rzuciła i ruszyła do wyjścia. Po paru krokach obróciła się jednak na pięcie i zawróciła. Rozejrzała się, zobaczyła, że w pobliżu nikogo nie ma, i odważyła się na to, czego nigdy jeszcze w szkole nie robiła, nawet z Timem – pocałowała Josha w oba policzki.

– Hej! – zawołał. – To się chyba nazywa molestowanie.

– Naprawdę? – spytała ze śmiertelnie poważną miną i ruszyła szybko do wyjścia.

Od dawna nie było jej tak lekko na sercu. Po dwóch dniach wypełnionych pesymistycznymi myślami o Timie wreszcie obudził się w niej optymizm. Poczula, że nadal może być jej chłopakiem, jeśli tylko zdobędzie się na to, co powinna była zrobić już dawno – porozmawiać z nim szczerze.

Po wyjściu z budynku, zamiast ruszyć w kierunku autobusu, który właśnie podjechał pod szkołę, pobiegła na parking. Miała nadzieję, że jeśli się pośpieszy, może uda jej się jeszcze złapać Tima. Ale kiedy dobiegła do pierwszych samochodów, zobaczyła, jak jego toyota wjeżdża na szosę i znika.

Trochę rozczarowana, wróciła do autobusu, lecz optymizm jej nie opuszczał. Trudno, pomyślała, zadzwonię

do niego i albo porozmawiamy przez telefon, albo umówię się z nim na wieczór.

Mama i Ralf, jak zawsze w piątki, byli już w domu, ale przechodząc koło kuchni, rzuciła im tylko „cześć” i poszła do siebie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poczekać trochę z telefonem. Tim miał do szkoły znacznie dalej niż ona i może jeszcze nie dotarł na miejsce. Przypomniała sobie jednak, że jego toyota jest szybsza niż szkolny autobus i nie zatrzymuje się co pół kilometra, gdy ktoś musi wysiąść. A tak naprawdę nie mogła się po prostu doczekać, kiedy usłyszy jego głos.

Telefon odebrała pani Mornay.

Meg spięła się cała, kiedy usłyszała jej głos. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że skoro Tim sądził, że doniosła szeryfowi Callahanowi o ciemnych sprawkach firmy Mornay i Spółka, to również jego matka musiała ją podejrzewać.

Pani Mornay była jednak jak zwykle uprzejma.

– Nie, Tima jeszcze nie ma. Spodziewam się, że wkrótce wróci – powiedziała.

Była miłą kobietą, ale kiedy rozmawiała przez telefon, jej głos zwykle wydawał się Meg nieco chłodny. Teraz miała wrażenie, że brzmi troszeczkę chłodniej.

– Czy mam mu coś przekazać? – spytała pani Mornay.

– Nie, proszę mu tylko powiedzieć, że dzwoniłam.

– Oczywiście, że mu powiem.

Dziewczyna podziękowała, powiedziała „do usłyszenia”, przerwała połączenie, ale dalej ścisnęła w dłoni słuchawkę, gotowa, kiedy tylko usłyszy dzwonek, nacisnąć przycisk i przyłożyć ją do ucha.

Mijały kolejne długie minuty, a w pokoju wciąż panowała cisza. Meg odłożyła słuchawkę, wierząc, że jeśli to zrobi, Tim zadzwoni. Czekala jednak kolejne piętnaście minut i telefon wciąż milczał.

Rozważała różne możliwości.

Wstąpił gdzieś po drodze ze szkoły.

Wrócił, tylko matka zapomniała mu powiedzieć o tym, że dzwoniła.

Wie, że dzwoniła, lecz nie może się zdobyć na odwagę, żeby wykręcić jej numer.

Wie, ale nie odzywa się z zupełnie innego powodu – chce jej dać po nosie i czeka, aż ona zadzwoni po raz drugi.

I wreszcie ta ostatnia, najgorsza, możliwość: nie chce nią rozmawiać.

I jeszcze jedna: Nigdy już nie będzie chciał z nią rozmawiać.

O niej Meg wołała nie myśleć.

Równo godzinę po pierwszym telefonie znów wybrała jego numer.

I znów usłyszała uprzejmy głos pani Mornay, który tym razem wydał jej się zdecydowanie chłodniejszy. A może tylko jej się tak wydawało.

– Przepraszam, to jeszcze raz ja. Czy Tim już wrócił?

– Tak, ale właśnie przed chwilą wyszedł.

Meg zamilkła. Chciała zapytać, czy dowiedział się, że dzwoniła, bała się jednak, że jeśli się odezwie, w jej głosie słyhać będzie rozczarowanie.

Nie musiała jednak o to pytać, ponieważ po chwili pani Mornay, choć nie wprost, odpowiedziała na to pytanie:

– Nie oddzwonił do ciebie? – spytała zdziwiona.

– Nie – odparła dziewczyna i w słuchawce znów zapadła

cisza. – A powiedziała mu pani, że dzwoniłam? – Była wściekła na siebie, kiedy zadawała to pytanie, lecz musiała mieć pewność.

– Oczywiście.

Najgorszy scenariusz, ten, o którym Meg nie chciała myśleć, nagle wydał jej się bardzo prawdopodobny. Czula się tak, jakby deptała resztki własnej dumy, kiedy zadała kolejne pytanie:

– Wie pani może, kiedy Tim wróci?

– Pewnie nieprędko. Pojechał do Tuscaloosy – odparła pani Mornay i po chwili dodała: – Powiem mu, że dzwoniłaś.

Meg podziękowała jej, odłożyła słuchawkę, i domyślając się, że Tim w ciągu najbliższych kilku godzin się nie odezwie, wyszła z pokoju. Szezerze mówiąc, wątpiła, że w ogóle zadzwoni.

Optymizm, który poczuła po rozmowie z Joshem, ulotnił się, nie pozostawiając po sobie nawet śladu. Przygnębiona, weszła do kuchni.

Ralf, smażył na wielkiej patelni pokrojone w cienkie paski warzywa; sądząc po unoszącym się wokół zapachu imbiru, przygotowywał swoją specjalność – chińską słodko-kwaśną potrawkę. Matka siedziała przy stole. Kiedy zobaczyła smutną minę córki, zamknęła magazyn, który przeglądała, i odłożyła go na niewielką stertę gazet i czasopism.

– Co słyhać? – spytała.

– Nic nowego – odparła Meg grobowym głosem, choć bardzo się starała, żeby zabrzmiał w miarę pogodnie.

– W szkole wszystko w porządku?

– Tak, dostałam piątkę z historii.

– Wspaniale – pochwaliła matka, ale przyjrzała się córce i dodała: – Nie widać jednak, żeby cię to cieszyło.

Meg wzruszyła ramionami. Owszem, równie dobrze mogłaby dostać pałę. W tej chwili nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Teraz liczył się tylko Tim i to, że najprawdopodobniej go utraciła.

Czując, że mama ją obserwuje, przechyliła się nad stołem i przesunęła w swoją stronę prasę. Szybko przewracała kartki, przy żadnej nie zatrzymując się na dłużej. W ten sposób przejrzała trzy czasopisma. Później na stole była jakaś gazeta. Meg odłożyła ją na bok i już otworzyła następny ilustrowany magazyn, kiedy zobaczyła zdjęcie na pierwszej stronie gazety.

Najpierw pomyślała, że wzrok ją omylił, ale kiedy wzięła do ręki lokalną popołudniówkę, „Wiadomości Tuscaloosy”, nie miała już wątpliwości, że mężczyzna na fotografii to nikt inny, jak ojciec Tima.

Zaskoczona, wstrzymała oddech. Mieszkała w okolicy, w której niewiele się działo, nie więc dziwnego, że redakcja „Wiadomości Tuscaloosy” – choć redakcja to pewnie zbyt szumna nazwa, zważywszy na to, że składała się ona z pana Goldmana, który był jednocześnie właścicielem, redaktorem naczelnym i autorem wszystkich artykułów, oraz jego asystenta – miała poważne kłopoty ze znajdowaniem tematów.

Przez głowę Meg przemknęła okropna myśl. Potrafiła znaleźć tylko jeden powód, dla którego fotografia pana Mornaya mogłaby się znaleźć na pierwszej stronie „Wiadomości”. W mieście tak porządnym i sennym jak Tuscaloosa aresztowanie głównego udziałowca jednej z wię-

szych fabryk w hrabstwie z całą pewnością byłoby sensacją zasługującą na pierwszą kolumnę.

Nagle wyobraziła go sobie, siedzącego za kratkami, i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a ramiona pokrywają się gęsią skórą. Nie dziwiła się już, że Tim do niej nie zadzwonił. Ona też nie miałaby ochoty rozmawiać z kimś, kto wpakował do więzienia jej ojca. Jeszcze raz spojrzała na fotografię. Nie zobaczyła wprawdzie kajdanek, lecz to o niczym nie świadczyło, ukazywała bowiem tylko twarz i ramiona pana Mornaya.

– Co się stało? – zapytała matka zaniepokojonym głosem.

Meg pokiwała głową i przesunęła wzrok na nagłówek.

MORNAY I SPÓŁKA PRZECIWKO ZANIECZYSZCZANIU ŚRODOWISKA!

Gdyby przeczytała ten tytuł w jakiegokolwiek innej gazecie, pomyślałaby, że jest ironiczny. Ale od czasu do czasu czytała śmiertelnie nudne artykuły w „Wiadomościach Tuscaloosy” i wiedziała, że słowo „ironia” jest zupełnie obce ich autorowi.

Przebiegła szybko pierwsze linijki.

– Co tam takiego wyczytałaś? – spytała matka.

Córka nie odpowiedziała, przechyliła się więc nad stołem, próbując coś dojrzeć. Ale siedziała za daleko. W końcu podniosła się z krzesła, stanęła za jej za plecami i zaczęła czytać.

Meg nie zwróciła na to uwagi. Kiedy dotarła do połowy artykułu, doszła do wniosku, że czytając zbyt nieuważnie, musiała czegoś nie zrozumieć. Zaczęła jeszcze raz.

Teraz składała litery i wyrazy niemal tak wolno jak dziecko z pierwszej klasy podstawówki. Gdy dochodziła

do końca zdania, wracała i czytała jeszcze raz, żeby się upewnić, że niczego nie przekręciła.

Artykuł zajmował całą kolumnę. Nie miała pojęcia, ile czasu zajęło jej czytanie, ale kiedy podniosła wzrok znad gazety, ze zdumieniem stwierdziła, że obok niej siedzą bracia, których wcześniej w kuchni nie było, a Ralf stawia na stole rondel z parującą chińską potrawką.

Nawet zapach, który tak uwielbiała, ponieważ kojarzył jej się z dzikim imbirem rosnącym w jej dolinie, nie oderwał Meg od artykułu w „Wiadomościach Tuscaloosy”.

Jeszcze raz przebiegła go wzrokiem, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przeczytała.

Wreszcie poznała odpowiedź na pytanie, które postawiła szeryfowi, kiedy odwoził ją do domu.

„Benjamin Mornay, główny udziałowiec fabryki Mornay i Spółka – pisał pan Goldman – zawiadomił biuro szeryfa o swoim podejrzeniu, że firma Bavaro, której zlecił wywożenie oraz utylizację toksycznych odpadów z jego fabryki, pozbywa się ich w nielegalnie, zatruwając środowisko naturalne w naszym hrabstwie. Dzięki wskazówkom pana Mornaya, dotyczącym miejsca popełniania przestępstwa, akcja policji przeprowadzona 25 października zakończyła się aresztowaniem dwóch pracowników firmy Bavaro. W trakcie dalszego dochodzenia wyszło na jaw, że firma ta uprawiała ten proceder już od kilku miesięcy na terenie całego stanu. Mornay i Spółka była jednym z wielu przedsiębiorstw, które słono płaciło za utylizację odpadów, nie mając pojęcia, że te toksyczne związki chemiczne są wylewane do rzek w ich najbliższym sąsiedztwie”.

Dalej było jeszcze trochę szczegółowych informacji oraz nieco pompatyczne oświadczenie szeryfa Callahana,

który ostro potępił podobne praktyki i zapowiedział, że nie dopuści, by na terenie ich hrabstwa zatrucie środowiska uchodziło komukolwiek na sucho.

Na końcu, na samym dole kolumny, był krótki wywiad z panem Mornayem. Jeden z jego fragmentów Meg przeczytała co najmniej pięć razy.

„Mieszkańcy naszego hrabstwa są winni panu wdzięczność.

Nie mnie. Raczej mojemu synowi, ponieważ o skażeniu rzeki przepływającej przez farmę MacPersonów dowiedziałem się od niego. Ale tak naprawdę podziękowania należą się jego dziewczynie, która mu o tym powiedziała”.

– Meg, jedzenie zupełnie ci wystygło – usłyszała głos Ralfa, kiedy po raz kolejny zaczęła czytać wywiad z panem Mornayem.

Podniosła głowę znad gazety i rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Matka sprzątała już ze stołu puste talerze.

– Nic jej się nie stanie, jeśli raz zje zimne – powiedziała.

– Zimna chińszczyzna? – rzucił Ralf, wzdragając się z obrzydzeniem, lecz mama spojrzała na niego tak, że więcej się nie odezwał.

Meg wzięła do ręki łyżkę i zabrała się za jedzenie. Ralf miał rację; na zimno jej ulubiona słodko-kwaśna chińska potrawka to nie było to. Ale kto na jej miejscu przejmowałby się jedzeniem?

Automatycznie niezym robot, raz po raz sięgała łyżką do talerza, nie odrywając spojrzenia od gazety, od dwóch wyrazów na samym dole kolumny: „jego dziewczynie”. – jak gdyby się obawiała, że jeśli podniesie wzrok, to znikną.

Tymczasem zniknęła chińska potrawka z jej talerza,

zniknęli z kuchni Ralf, Luc i Steve; została tylko mama, wkładająca naczynia do zmywarki.

Meg dopiero teraz uświadomiła sobie, że zachowanie matki było zupełnie dla niej nietypowe. Zawsze gwałtownie protestowała, gdy któryś z członków rodziny zajmował się jakimiś własnymi sprawami podczas wspólnych posiłków. Kiedy ojciec wyprowadził się z domu, Meg przyszło nawet do głowy, że może nie zrobiłby tego, gdyby mama pozwoliła mu czytać gazety przy kolacji.

Matka wzięła ze stołu ostatni pusty talerz, włożyła go do zmywarki, po czym usiadła naprzeciwko córki.

– Nic mi o tym nie mówiłaś – powiedziała cicho, zerkając na gazetę.

– Przeczytałaś to? – zdziwiła się dziewczyna.

Mama potaknęła milcząco.

– Było mi trochę przykro – odezwała się po chwili – że o czymś, co dotyczy mojej własnej córki, muszę się dowiadywać z gazety.

Meg znów popatrzyła na artykuł i pokręciła głową.

– Ja naprawdę o niczym nie wiedziałam.

– Jak to nie wiedziałaś? Nie rozumiem. – Mama wpatrywała się w nią pytającym wzrokiem. – To znaczy, że to, co powiedział pan Mornay, jest nieprawdą?

– Nie, to prawda, tylko że... tylko...

Meg opowiadała całą historię nieco chaotycznie. Kiedy zaczynała się płatać, matka przerywała jej i zadawała jakieś pytanie. Oczy zrobiły jej się okrągłe z przerażenia, gdy córka dotarła w swojej relacji do momentu, w którym jeden z ludzi szeryfa zatkał ręką jej usta.

– Chryste, Meg, obiecaj mi, że nigdy więcej nie zrobisz czegoś takiego.

– Masz to jak w banku – rzuciła dziewczyna. Wydawało jej się, że od momentu kiedy stała ukryta za krzakami przy rzece, upłynęły już całe wieki, lecz grozę, która przejmowała ją wtedy, wciąż pamiętała tak, jakby to wszystko zdarzyło się przed chwilą.

– Bogu dzięki, że wszystko dobrze się skończyło – powiedziała matka, wzdychając z ulgą.

Meg była jednak innego zdania. Miała taką minę, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata i nie było żadnej siły, która mogłaby to powstrzymać.

– Wcale się dobrze nie skończyło! – krzyknęła. – Zachowałam się jak ostatnia idiotka!

– To prawda – przyznała matka. – To, co zrobiłaś, nie było z pewnością najrozsądniejsze, ale najważniejsze jest...

– Nie o to chodzi, mamo – przerwała jej Meg. – Popeliłam inny błąd. Dopóki nie przeczytałam tego artykułu, byłam pewna, że to ojciec Tima za wszystkim stoi. Myślałam, że to jego sprawka i że Tim doskonale o tym wie.

– I powiedziałaś mu o tym?

Skinęła głową.

Mama zmarszczyła czoło.

– Musiało go to bardzo zaboлеć – odezwała się po chwili.

– Nie musisz mi tego mówić. – Meg otarła łzę. – Powiedziałaś mu okropne rzeczy. – Następnym już nie wycierała; splywały jej po policzkach i brodzie i spadały na stół. Po chwili na obrusie w białoniebieską kratkę powstała mokra plama.

Matka przechyliła się nad stołem i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Meg – szepnęła. – Ludziom często zdarza się coś

takiego. – W złości mówimy rzeczy, których potem żałujemy. – Ale to można naprawić. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i przyznać do błędu. Wszyscy je popełniamy.

Jeszcze kilka godzin temu Meg przyznałaby jej rację. Wtedy wydawało jej się, że wystarczy szczerza rozmowa z Timem, teraz jednak obawiała się, że nie wszystkie błędy można naprawić. Spojrzała na mamę i pokręciła głową.

– Musisz z nim porozmawiać – ciągnęła matka. – Tim jest rozsądnym chłopcem. I... i wydaje mi się, że bardzo mu na tobie zależy. Porozmawiaj z nim.

Meg nie powiedziała jej, że próbowała to zrobić, że dzwoniła do niego dwa razy, a on nie oddzwonił. Nie powiedziała również o tym, że Mary Jo postanowiła się koło niego „zakrećć” i że to pewnie z nią jest teraz w Tuscaloosie.



Rozdział 19

Choć lazurowe niebo było bezchmurne, rześkie powietrze wskazywało, że lato powoli się kończy. Jesień w Alabamie nadchodzi późno i pod koniec października dni bywają często bardzo upalne, lecz noce i poranki są już chłodne.

W sobotę Meg obudziła się wcześniej, po pięciu zaledwie godzinach niespokojnego snu. Pierwsze, co zrobiła po przetarciu oczu, to spojrzała na stojący na nocnej szafce telefon, który przez cały wczorajszy wieczór ani razu nie zadzwonił.

Leżąc, nie spuszczała z niego wzroku, jakby wierzyła, że jeśli będzie na niego patrzyć wystarczająco długo, aparat zlituje się nad nią i zadzwoni. Dopiero po chwili zerknęła na budzik, i zorientowawszy się, że nie ma jeszcze siódmej, zrozumiała, że powodem milczenia tele-

fonu wcale nie jest jego złośliwość czy bezdusność, które czasami przypisywała różnym przedmiotom.

Jeśli w ogóle istniała jeszcze jakaś szansa, że Tim zadzwoni, to na pewno nie przed dziesiątą. Znała go na tyle, by wiedzieć, że w wolne od szkoły dni nigdy nie wstaje wcześniej. Zdając sobie sprawę, jak trudno będzie jej wytrzymać najbliższe dwie godziny, przewróciła się na drugi bok i zasłoniła oczy ramieniem. Wydawało jej się, że minęła cała wieczność na bezskutecznych próbach zaśnięcia, ale kiedy znów się odwróciła i popatrzyła na budzik, było dopiero kwadrans po siódmej.

Gdy jej wzrok odruchowo powędrował w stronę telefonu, zła na siebie, zerwała się z łóżka. Wiedziała, że i tak już nie zaśnie, poszła więc do łazienki, umyła się, ubrała bez pośpiechu i postanowiła iść do kuchni, żeby wziąć sobie coś do picia.

Ralf był już dawno po śniadaniu, ale kiedy ją zobaczył, natychmiast zaofiarował się, że usmaży jej jajka na bekonie.

– Nie, dzięki, nie mam ochoty na jedzenie.

– A dobrze by ci zrobiło. Nic tak nie poprawia człowiekowi humoru jak porządne śniadanie.

Jest jedna, jedyna rzecz, która mogłaby mi poprawić humor, pomyślała Meg, ale na nią, przynajmniej przez najbliższe dwie i pół godziny, nie może liczyć. A potem najprawdopodobniej też nie. Gdyby Tim chciał z nią rozmawiać, zadzwoniłby już wczoraj. Matka musiała mu przekazać, że próbowała się z nim dwa razy skontaktować.

Wiedziała, że po tym, co od niej usłyszał, pierwszy krok powinien należeć do niej. Ale wykonała go przecież –

nawet dwa kroki. Niestety, milczenie Tima było dla niej wyraźnym sygnałem, że zdobyła się na nie za późno. Mogła oczywiście zadzwonić do niego jeszcze raz, mogła dzwonić, dopóty, dopóki z nim nie porozmawia, czuła jednak, że duma jej na to nie pozwoli.

Tliła się w niej jeszcze nadzieja, że wrócił wczoraj z Tuscaloosy zbyt późno na telefon i że odezwie się dzisiaj, ale tłumiała ją w sobie, bojąc się rozczarowania.

– Wstałaś tak wcześnie, bo się gdzieś wybierasz? – spytał Ralf, kiedy nalewała sobie soku do szklanki.

Meg pokręciła głową, ale po chwili doszła do wniosku, że siedząc w domu, nie znieśie napięcia związanego z czekaniem na telefon.

– Chyba jednak pojeżdżę na rowerze – powiedziała, wyglądając przez wychodzące na wschód okno. – Nie wiadomo, jak długo jeszcze będziemy mieli taką ładną pogodę.

I tak, zamiast siedzieć teraz w swoim pokoju i wpatrywać się w milczący telefon, drżąc trochę z zimna – ponieważ wyszła z domu w samym T-shircie – minęła wysoki czerwony cedr i znalazła się w swojej dolinie.

Przed nią rozpościerał się fioletowy dywan. Mimo żółtobrazowego pasa uschniętej roślinności przy wodzie Dolina Dzikich Astrów wyglądała prześlicznie.

Meg zatrzymała się i przez chwilę rozglądała z zachwytem. Potem wolnym krokiem ruszyła w dół, w stronę rozlewiska.

Przychodziła tu za każdym razem, gdy było jej smutno i źle na świecie. Kiedy ojciec wyprowadził się z domu, całymi godzinami przesiadywała pod ognistym krzewem. I zawsze to miejsce koło jej bólu. Dzisiaj miała nadzieję,

że będzie tak samo, ale na razie czuła, że widok doliny tylko pogłębia jej smutek.

Kiedy doszła do rozlewiska, pochyliła się, wciągnęła głęboko powietrze i z ulgą stwierdziła, że woda pachnie tak jak zawsze. Trawa przy brzegu wciąż była wyschnięta, ale na wiosnę pewnie wyrośnie świeża. Gorzej wyglądał ognisty krzew. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nic go już nie uratuje, lecz kiedy Meg obeszła go dookoła, zauważyła na gałęziach od północy czerwone podłużne owoce i zielone liście, a gdy przytknęła nos do kory, poczuła intensywny korzenny zapach.

Z optymizmem pomyślała, że Dolina Dzikich Astrów przetrwa to, co się tu wydarzyło.

Ponieważ przyroda jest mądrzejsza niż ludzie, myślała dalej Meg. W każdym razie mądrzejsza niż ja. Z przygnębiającym poczuciem, że zniszczyła coś, co było dla niej tak ważne, usiadła na dużym płaskim kamieniu, który kilka lat wcześniej z wielkim trudem dotoczyła pod ognisty krzew.

Patrzyła na równe lustro wody i wsłuchiwała się w ciszę, którą od czasu do czasu przerywały tylko odgłosy dwóch dzikich indyków, które przechadzały się wśród astrów po drugiej stronie rozlewiska, ale jej myśli uparcie wracały do Tima.

Co jakiś czas odzywał się w niej głos, który mówił jej, że powinna natychmiast wrócić do domu i czekać na jego telefon. Nie dała się jednak zwieść temu głosowi. On nie zadzwonił, powtarzała sobie za każdym razem, kiedy jej nogi chciały się poderwać i biec, po czym zmuszała się, żeby pozostać na miejscu.

Słońce zawędrowało już na tyle wysoko, że jego promienie dawały przyjemne ciepło. Po gęsiej skórcie, którą

Meg miała na ramionach, kiedy wchodziła do Doliny Dzikich Astrów, nie zostało już ani śladu.

Może z powodu przyjemnego ciepła, a może po prostu dlatego, że rozpaczliwie próbowała chwycić się czegoś, co dałoby jej jakąś nadzieję, wyobraziła sobie, że wraca do domu i mama mówi jej, że dzwonił Tim. Dwa razy. Nie, trzy. Nie, dzwonił co pięć minut podczas jej nieobecności.

Tę cudowną wizję przerwał jej jakiś dźwięk. Otworzyła oczy i spojrzała w stronę, z której dochodził cichy plusk. Na idealnie gładkim dotąd lustrze wody pojawiły się kręgi, które zbliżyły się do brzegu. Kilka sekund później nad powierzchnią ukazał się zielonobrazowy znajomy kształt.

Nic mogła uwierzyć własnym oczom. Była pewna, że skoro Sam nie przeżył zatrucia rzeki, jego krewnych musiał spotkać taki sam los. A tymczasem z wody coraz wyraźniej wynurzał się pancierz. Po chwili na brzeg wyszedł żółw, który różnił się od jej ulubieńca tylko tym, że nie miał jasnej plamki na pancerzu przy szyi. Gdyby nie ta mała różnica, pomyślałaby, że jej się to śni, zwłaszcza gdy żółw wgramolił się na ten sam kamień, na którym przed dwoma tygodniami wygrzewał się na słońcu Sam.

Meg podniosła się, i poruszając się jak najciszej, wolno zbliżyła się do niego i przykucnęła pół metra od kamienia.

Widziała przy rozlewisku inne żółwie, żadnego jednak nie udało jej się tak oswoić jak Sama, obawiała się więc, że kiedy tylko wyciągnie dłoń w jego kierunku, zwierzę czmychnie do wody. Mimo to nie mogła się powstrzymać i bardzo powoli wysunęła rękę.

Żółw, tak jak się spodziewała, spłoszył się i natychmiast schował głowę, szyję oraz kończyny pod pancerz. Cofnęła rękę.

Kiedy po jakimś czasie wystawił głowę, spróbowała ponownie. Zwierzę zareagowało tak samo.

Dopiero za piątym razem zaufał jej na tyle, że pozwolił dotknąć swojej miękkiej szyi.

Spodobało mu się i wkrótce wysunął się z pancerza na tyle, że czerwone linie ciągnące się po obu stronach jego głowy i szyi ukazały się w całej okazałości.

Meg poczuła się rozczarowana, kiedy nagle – nie wiadomo dlaczego – w zupełnie niezłotwym tempie – zszedł z kamienia i zniknął w wodzie.

Kiedy uświadomiła sobie, co go tak spłoszyło, zmarła.

Zza jej pleców dochodziły odgłosy, których jeszcze nigdy nie słyszała w swojej dolinie. Czasami pojawiały się tu dzikie indyki, wydające charakterystyczne dźwięki, kilka razy zabłąkały się leśne kaczki albo inne ptaki. Ale pomijając zeszłą sobotę, kiedy przyprowadziła tu Tima, nigdy nie słyszała w Dolinie Dzikich Astrów odgłosu innych ludzkich kroków niż własne.

Nagle przypomniała jej się groza, którą przeżyła kilka dni temu, gdy jeden z ludzi szeryfa skrepował jej ramiona i zatkał ręką usta.

Odrzuciła się przerażona, wiedząc, że tuż za nią ktoś jest.

Metr od niej stał Tim.

Kolana ugięły się pod nią z ulgi i nieopisanego szczęścia. Jakimś cudem zdołała ruszyć się z miejsca, pokonać

dzielącą ich odległość, zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się do niego z całej siły.

Była pewna, że gdyby nie trzymał jej mocno w ramionach, osunęłaby się na trawę.

– Tim – szepnęła, kiedy wreszcie poczuła, że stoi na tyle mocno na nogach, że bez obawy może się na chwilę od niego odsunąć. Cofnęła się o krok i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, jakby chciała się upewnić, że to na pewno on.

Tym razem to on pokonał dzielącą ich odległość, objął ją i znów stali mocno przytuleni.

Meg z trudem oderwała się od niego. Chciała mu zadać mnóstwo pytań, ale zadała to, które wydawało jej się najważniejsze.

– Która jest godzina?

Tim zerknął na zegarek i powiedział trochę rozczarowanym głosem:

– Wpół do dziesiątej. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Dlaczego pytasz o godzinę?

– Bo to jest najważniejsze pytanie – odparła, uśmiechając się.

Nie miała pojęcia, jak się domyślił, że ona jest w Dolinie Dzikich Astrów, wiedziała jednak, że aby dotrzeć tu o tej porze, musiał wstać przed ósmą – w sobotę, w dzień wolny od szkoły!

Patrzył na nią, nie wiedząc, o co chodzi, ale Meg znów przytuliła się do niego i przestał się nad tym zastanawiać. A kiedy po chwili ich usta najpierw musnęły o siebie, a potem połączyły się w pocałunku, nie myślał już o niczym.

Zanim przyprowadziła go tu w zeszłym tygodniu, wy-

myślała sobie dziesiątki sposobów na wyznaczenie mu tego, co do niego czuje. Ale, idąc tu wtedy, dalej nie była pewna, który z nich będzie najlepszy.

Nie wyobrażała sobie, że to może być takie proste.

– Kocham cię, Tim – szepnęła w przerwie między jednym pocałunkiem a drugim.

I takie cudowne.

Miejska Biblioteka Publiczna
w Rudzie Śląskiej
FILIA NR 16

**Już wkrótce
ukazą się kolejne książki z serii**

**NIE DLA MAMY,
NIE DLA TATY,
LECZ DLA KAŻDEJ MAŁOLATY**

**Jackie Stevens
O JEDNĄ ZA DUŻO**

**Patricia Marvell
KIEDY WEJDZIESZ MIĘDZY WRONY**

